

Kronika

D W U T Y G O D N I K S P O Ł E C Z N O - K U L T U R A L N Y

Nr 7 Rok

ŁÓDŹ, 1—15 SIERPNIA 1955

Cena zł 1.20

SEWERYNA SZMAGLEWSKA

Spotkania wiedeńskie

PROFESORA LANGHAMMERA poznaliśmy w małym, naddunajskim mieście Krems, nazywanym w przewodnikach turystycznych „die romantische Weinstadt”. Dzień był pary, czerwcowy. Mieliśmy za sobą parogdzinny spacer po starych uliczkach i placach, gdzie na każdym kroku spotyka się rzeźbę, rysunek, architekturę z dawnych wieków, przetrwał w spokoju i trwając nadal. Mówiliśmy z Kazimierzem Brandysem, jak dobrze takie miejsca wpływają na przyjeźdnego pisarza. Czysta, obce miasto, wokoło winnice pnące się w słoncu nieregularną regularnością zielonych krzaczków aż do horyzontu. Jakaś mieszcza wycyniona z okna wspiera pulchne łokcie o „Fensterkiss”, a dokoła niej i nad nią malowidła, płaskorzeźby, tak jak było w średniowieczu. Myśl wypoczywa, poddaje się wrażeniom, zmienia się w białą, niczym nie zapisaną kartę. W takim mieście zostać i pracować, dopóki nie zniknie wrażenie tej świeżości.

Była niedziela. Z kościołów wyroiły się gromadki pobożnych. Szliśmy za widoczną w górze tabliczką „Gruppe IV”, którą niósł przed nami paroletni Mateusz, mieszkaniec Krems, odpowiednio dumny ze swej funkcji wyręczania przewodnika.

Przy obiedzie, na wprost polskiej grupy siedział starszy człowiek ze swoją żoną. W pewnej chwili, wskazując mój numer oświecimski, powiedział:

— Jesteśmy obozowymi kolegami.

Natychmiast okazało się, że i Gustaw Morcinek może powiększyć osobliwą grupę byłych heftlingów. Rozmowa zresztą szybko przechylała się na stronę zainteresowań literackich, mówiliśmy o książkach austriackich i polskich, współczesnych i dawnych, wymienialiśmy tytuły, autorów, potem i nasze adresy. Przy deserze profesor Langhammer podał mi kilka róż białych i czerwonych, które symbolizowały barwy narodowe Polski, albo po ułożeniu czerwonych nad białymi — barwy Austrii. Za namową żony zrobił parodię przemówienia Hitlera, w końcu wznosił toast na cześć pokojowej współpracy między narodami i apelował, aby nigdy nie zapominać grozy hitlerowskich obozów koncentracyjnych. Rozstaliśmy się w przyjaznym nastroju, zresztą na krótko, bo profesor i jego żona zatrzymali dla nas miejsca obok siebie w wycieczkowym pociągu, żeby móc podczas dalszej przejażdżki nad Dunajem objaśniać i wskazywać najciekawsze rzeczy. Z tym wszystkim, jak się potem okazało — nie znaleźliśmy jeszcze wcale profesora Langhammera i dopiero później mieliśmy go poznać bliżej.

W ogniu pytań

Dunaj nie był w tym dniu ani mody, ani błękitny. Wydawał się żółta-wielony, jak kocie oczy. Zresztą uroda tej rzeki, to nie tylko barwa. Dunaj płynie szybko i szumi głośno, jak rasowy górski potok, mający dużo do powiedzenia i dużo drogi do przebycia. Szeroki, rozlewny, górski potok, owiany modrą mgiełką, rwący naprzód poprzez pejzaż z łańcuchami gór, winnicami, ruinami starych zamczków.

Rozmawiałam w pociągu z holenderską bibliotekarką, która mnie pyta o pisarzy-emigrantów.

Odpowiedziałam jej zgodnie z prawdą, że kiedy myślę o pisarzach-emigrantach, ogarnia mnie współczucie. Żałuję ludzi, których czasem dramat wewnętrzny, czasem błąd w rozumowaniu rozdzielił z krajem. Pisarz nie może się rozwijać z dala od narodu, z dala od mowy rodzinnej, która ulega zmianom, rośnie, nabrzmiewa sokami współczesności.

Jacek Bocheński wiódł w tym czasie ożywiony dyskurs z młodym Austriakiem, obecnie dziennikarzem amerykańskim.

Kazimierz Brandys w swojej świetnej francuszczyźnie rozmawiał z grupą wiedeńskich, śmiało atakując problemy naszego czasu.

Pytania i odpowiedzi. Pytania i odpowiedzi. Ciekawość. Ciekawość. Ciekawość.

— Powinnościście częściej przyjeżdżać — powiedział ktoś Brandysowi. — Gdy was nie ma, to wiele rzeczy łatwo wmówić na wasz rachunek.

Brandys odpowiada uśmiechem. Domyśla się zapewne, jakie to miłe rzeczy przypisuje nam propaganda.

Wysiadamy w Melku. Marksisci razem z idealistami odbywają teraz pielgrzymkę do górskiego monasteru, wznoszącego się po drugiej stronie Dunaju. Tam z tarasu rozciąga się szeroki widok na okolicę. Wszystko powleczone błękitną mgiełką, nie znikającą w słonecznym upale, a nawet jakby kondensującą się jeszcze nad wodą i nad ziemią. Dołem asfalty dróg, wąskie jak siwe tasiemki.

Mamy coraz więcej znajomych. Co chwila zamieniamy z kimś kilka słów, albo adres i obietnicę korespondencji.

Pisarze z Zachodu, należący do PEN-clubu, nie są widocznie tak łatwowierni, ani tak ograniczeni, jakby tego chciała propaganda. Ciekawość, jaką przejawiają dla spraw krajów demokracji ludowej, świadczy o tym, że sami chcą dociec prawdy, chcą sobie stworzyć własny obraz rzeczywistości. Pytają o wiele rzeczy. Prawdziwy jednak atak przypuszcza nagle profesor Langhammer, spotkawszy nas na dziedzińcu monasteru, siedzących na brzegu sadzawki. Chciałoby się zawołać: „Kaziu, nie męcz ojca”. Ale to nie Kazio męczy ojca, tylko na odwrót, starszy pan zasypuje pytaniami Kazimierza Brandysa, Jacka Bocheńskiego i mnie. Pragnie wszystko wiedzieć. Ile zarabia w Polsce przeciętny urzędnik. Ile kosztuje garnitur, ile buty. Jak wyglądają nakłady książek. Jak się rozwija

rych turystyczny. Czy kobieta zarabia tyle, ile mężczyzna. Czy praca kobiety nie wyklucza jej szczęścia. Z szybkością enkaemu profesor wyrzuca dalsze pytania, ledwo tylko milknie odpowiedź. Jeżeli w tym tempie przesłuchuje studentów...

Ukazują się na dziedzińcu koledzy węgierscy, Georges Bőlöny i Istavan Kiraly. Siadają obok nas, widocznie ich także upał pozabawił sił. Profesor z nowym zapalem atakuje ich pytaniami tym razem dotyczącymi Węgier.

Polak z Anglii

Arnold Zweig odwraca się na krześle i mówi do mnie:

— Dlaczego pani nosi ciemne okulary, kiedy tu nie ma słońca?

W tym pytaniu słyszę jego własny żal do losu, że niemal pozbawił go wzroku i przestroję dla innych, którzy nie umiają szanować oczu. „Zdejm ciemne okulary! Patrz!” — zdaje mi się, że słyszę tę dodatkową myśl w słowach wielkiego pisarza.

Tak się złożyło, że w ostatnich miesiącach lektura powieści Zweiga była dla mnie niecodziennym wydarzeniem. Świeżość i młodość opisu w „Młodej kobiecie z roku 1914” obok dojrzałego uniłowania smaków i radości życia w „Toporze z Wandsbeck”, a na dnie pisarskiego spojrzenia na ludzi — głęboka mądrość i postępowość wielkiego humanisty.

To wszystko sprawiło, że patrzyłam na mojego sąsiadę z niemałym pietysmem. Powiedziała Arnoldowi Zweigowi, że Hamburg w jego książce czyni wrażenie miasta, do którego autor tęsknił w trakcie pisania. Stąd opis tak realistyczny, że widzi się tam ulice,

(Dokończenie na str. 3)



Seweryna Szmaglewska i Arnold Zweig na zjeździe PEN-Clubu w Wiedniu

ZBIGNIEW CHYLIŃSKI

Świat odmłodzony

CWIERĆ wieku temu lord Lotien, który wspólnie z G. B. Shaw'em odbył podróż do Związku Radzieckiego, powiedział po powrocie do ojczyzny, że „u podstaw rewolucji rosyjskiej leżą idee, które będą miały olbrzymi wpływ na przyszły rozwój ludzkości”. Jakkolwiek lord Lotien oburzył tym do głębi socjaldemokratów, a w Izbie Lordów nie wywołał zbytniego entuzjazmu, historia wykazała, że słuszność była jednak po jego stronie.

W roku 1955 inny lord, słynny Bertrand Russell, który nigdy nie żywił sympatii dla rosyjskiej rewolucji, a nie tak dawno jeszcze nawoływał do krucjaty przeciw „barbarzyńcom Wschodu”, odstąpił od swej dotychczasowej działalności politycznej i nawiązał kontakt ze Światową Radą Pokoju. Tym samym zawołany empiryk przyznał, że ruch obrońców pokoju wywiera olbrzymi wpływ na obecny rozwój ludzkości.

Oczywiście, obrońcy pokoju mogą się tą metamorfozą cieszyć, choć żeby uświadomić wielkość swych sukcesów wcale nie potrzebują się na nią powoływać. Świadczy o tym jednak, że w końcu nie tylko politycy i dyplomaci, ale nawet zawodowi apologety tzw. „atlantyckiej kultury” muszą się liczyć z faktami. A faktem m. in. jest, że wyszczególnionej „atlantyckiej kultury” mecenasami ostatnimi czasami okulał i że stawiać nań jeszcze dziś mogą tylko najbardziej zapamiętali „atomowcy”.

Jakiemu panu konik ten służył? Ilia Erenburg, który najgoręcej i taką mocą argumentów przestrzegał postępowych intelektualistów świata przed tymi, którzy szykując wojnę krzyczeli o „zagrożeniu atlantyckiej kultury”, wielokrotnie obnażał bezsens tego pojęcia. Czy kultura ludzka dzieli na strefy wedle nazw oceanów i obszarów wpływu dolara? Czy można sobie np. wyobrazić historię literatury powszechnej bez imienia Tolstoja, Dostojewskiego, Turgeniewa i Czechowa, historię muzyki europejskiej bez Czajkowskiego i Musorgskiego, poezję Neruda bez Majakowskiego, prozę Romana Rollanda, Nexo, La Fontaine'a bez Gorkiego, a współczesną kinematografię włoską bez Eisensteina i Pudovkina? „Niekróć — mówi Erenburg — plantator bawełny znał Mississippi lub watykański jezuita próbuje odgrodzić „kulturę zachodnią” od Związku Radzieckiego, oznacza to chęć odgródzenia swoich niewolników i więźniów od kontaktu z jakąkolwiek kulturą — amerykańską, włoską czy francuską.”

Zachodnia Europa doświadczyła tej prawdy na własnej skórze. Europa, której nie zażyczyłoby ani coca — coli, ani „strip — tease” (taki sobie „rozbiegany” taniec), ani arcydzieła Hollywood, ani nawet balet nowojorski i przeróbka Eurypidesa, ani tym bardziej amerykańska wystawa płócien mistrzów francuskich — ta Europa, którą zachwyciły za to polskie „Mazowsze”, opera chińska i teatr Brechta, wie już dzisiaj, jak zły sprawe służył mit „atlantyckiej kultury”, mit również za Atlantyką coraz mniej popularny. W Stanach Zjednoczonych mało kogo wzruszają wojownicze przemówienia i artykuły senatora Knowlanda, a mieszkańcy Nowego Yorku woleliby raczej słuchać Davida Ojstracha i oglądać Halinę Utanową. Świadczy o tym na przykład „New York Times”, którego znamienity artykuł w sprawie nawiązania kontaktów kulturalnych ze Związkiem Radzieckim powitała prasa radziecka z właściwą sobie powagą.

W latach, kiedy na Zachodzie szalała jeszcze propaganda wojenna, na tamach tej właśnie prasy można było przeczytać mądre, ze spokojem i słusznym doświadczeniem wypowiedziane zdanie, które dziś uparcie przychodzi na myśl, że samo istnienie Związku Radzieckiego zmienia zasadniczo duchowy klimat świata. Tak, jest to klimat świadomej, poważnej odpowiedzialności za losy ludzkości i kultury. Z tego klimatu czerpał moralne siły światowy ruch obrońców pokoju, w którym znaleźli się wszyscy współcześni koryfeusze myśli ludzkiej. Z tego klimatu wynikała zakończona przed paru dniami konferencja wielkiej czwórki w Genewie, która stała się powinną początkiem końca „zimnej wojny”, przywrócenia zaufania w stosunkach międzynarodowych, likwidacji sztucznych barier w stosunkach gospodarczych i kulturalnych między systemami kapitalistycznym i socjalistycznym.

W dniach, w których ludzkość oddycha nadzieją pokoju, pełniej niż kiedykolwiek dotąd, wszystkie drogi świata prowadzą do stolicy Polski Ludowej na V Światowy Festiwal Młodzieży i Studentów. Jest coś symbolicznego w tym, że nowa fala optymizmu promieniować będzie na wszystkie kontynenty z miasta najbardziej optymistycznego.

Tak, to z Warszawy rozlegnie się jeszcze raz potężny, pełny głos pokoju, w imię zakończenia „zimnej wojny”, w imię zwycięstwa zasady rokowań, w imię zakazu i zniszczenia

broni atomowej, w imię porozumienia pięciu wielkich mocarstw, likwidacji baz wojennych i podpisania paktu zbiorowego bezpieczeństwa, w imię poszanowania suwerenności i respektowania prawa do samostanowienia narodów, w imię uznania praw młodego pokolenia wszystkich krajów do pracy, nauki, kultury, wypoczynku.

Tak, w Warszawie uścisną sobie dłonie Francuz i Wietnamczyk, Polak i Niemiec, Anglik i Murzyn ze Złotego Wybrzeża; poznają się i zaprzyjaźniają Fin i Senegalczyk, Szwed i Sudańczyk, Chińczyk i Turzek; radzić będą przy jednym stole Amerykanin, Rosjanin, Anglik, Francuz i Chińczyk; upomną się o zjednoczenie swej ojczyzny Niemiec z nad Renu i Niemiec z nad Jany.

Tak, to w Warszawie rozwieją się wszelkie nieufności i uprzedzenia, zrodzą się uczucia szacunku i podziwu dla naszej pracy, dla naszej młodej Ojczyzny, dla naszego ustroju, dla naszej młodzieży, która ma prawo, o jakich marzył tylko może młodzież krajów kapitalistycznych.

U nas odbędzie się festiwal sztuki światowej, pokaz sztuki narodowej i ludowej, jakiego jeszcze dotąd nie było; zestroją się w harmonijną jedność całość „The Ballad Opera” i tańce z romantycznej wyspy Bali, artyzm „Berliner Ensemble” i pieśni brazylijskich Murzynów z Rio de Janeiro, kunszt „Théâtre du Nouveau Monde” i belgijski „Dyl Sowidzrał”, narodowe pieśni Bułgarii i jazz Gerry Mingo, rytm tam-tamów z Kape Town i klasyczny balet radzieckiego Teatru Wielkiego; zagrają autentycznym folkloru obrzędy ludów świata, wdziękiem barw i bogactwem inwencji — rewie strojów ludowych i mody.

U nas radzić będą młodzi fizycy nad pokojowym zastosowaniem energii atomowej, młodzi filolodzy nad tradycjami humanizmu i współczesnym bohaterem literatury światowej; wymienią doświadczenia młodzi filmowcy Włoch, Indii, Japonii, Czechosłowacji, Polski i Iraku.

W tych setkach spotkań i programów, które trudno jest człowiekowi zliczyć, młodzież świata zademonstruje możliwość, konieczność, że d a n i e pokojowego współistnienia dwóch systemów.

Współistnienie. Nie wymyśliłmy tej formuły na użytek chwili. Jest ono istotą polityki państwa socjalistycznego. „Każdy naród ma prawo do stanowienia o własnym losie” — „Nie może być wojny naród, który uciśka inne narody” — z tym krzykiem na ustach rozlała się Republika Rad. „Pokoju światu, pokój narodom” — tym podzwonieniem zwykliśmy witać ludzi dobrej woli.

Ale współistnienie nie oznacza, że czujemy się słabi, że kapitulujemy wobec ekspansji kosmopolityzmu. Oznacza ono obronę pokoju przed garstką tych, którzy pokojową rywalizację jest nie na rękę. Oznacza ono obronę kultury ogólnoludzkiej przed zagładą, obronę kultur narodowych przed penetracją filistrów i teptowatych cyników, dla których dom G. Shawa jest dobrym bytnem pod wymownym nazwaniem „Profesja pana Warren”.

Bliska nam jest prawda o życiu wszystkich narodów bez względu na ich ustrój, ale nienawidzimy oszczerców. Jesteśmy pełni wiary w konstruktywną moc uchwał geneeskich, ale nie zapominamy, że istnieją odwetowcy. Pragniemy, by duch pokojowej dyskusji, jaki przyświecał Genewie, zapanował w dyskusji dwóch systemów, ale pamiętamy, że są wojowniczy generałowie, którzy chcieliby wygrać tę dyskusję przy pomocy oręża.

Dlatego musimy być nadal czujni. Dlatego mówimy, że nie skończyła się jeszcze ofensywa przeciw wojnie. Dlatego chcemy, by warszawski sierpień był ucieleśnieniem idei, które zatruwały w Genewie. Dlatego Festiwal odmłodzonego świata jest imprezą, na wskroś polityczną, wolną od miraży neutralizmu. Dlatego przyświecają mu na wskroś politycznie rozumiane hasła przyjaźni i pokoju.

Są jednak ludzie, którzy w swym zaślepieniu i bezsilnej ucieczce chcieliby tę hasła zdeprecjonować. Ludzie ci chętnie przedstawiają Festiwal jako „imprezę komunistyczną”. Znamy to metoda orędowników wojny, fatalizmu i defetyzmu. Ale dziś kiedy narody wzięły w swe ręce sprawę obrony pokoju i gotowe są bronić jej do końca — nie wiele już mogą zdziałać defetyści. Zaprzeczy im student z Coventry, który organizował swój krajowy festiwal pod hasłem „Bądź współtwórcą historii”, zaprzeczy im delegat indyjskiej YMCA, zaprzeczy im katolik z Chile, zrzeszony w Światowej Federacji Studentów Chrześcijan, zaprzeczy im robotnica z „United Fruit” z Costariki, zaprzeczy im młody komunista hiszpański, polski duchowny i działacz Komsomolu. Bo w tym jest już siła naszych idei, że pozostają w zgodzie z interesami wszystkich ludzi bez względu na ich poglądy, przekonania i wierzenia.

Cwierć wieku temu lord Lotien wypowiedział tę prawdę. Jakkolwiek lord Lotien ściągnął tym na siebie nienawiść socjaldemokratów i nie wzbudził entuzjazmu w Izbie Lordów, historia wykazała, że słuszność była jednak po jego stronie.

Z dala od meteorologii

(XVI sesja Rady Kultury i Sztuki)

SPRAWOZDAŃ z narad i dyskusji nie powinno się pisać od razu — na gorąco. Oceny bowiem, podjęte pod naporem pierwszych, nieuprzedzonych wrażań, bywają zauporządkowanych, bywają, bywają zauporządkowanych i rzadko utrafiąją w sedno. Sprawiedliwa ocena wydarzeń intelektualnego (a takim wydarzeniem jest niewątpliwie każdy zjazd twórców) wymaga czasowego oddalenia, pewnego namysłu i spokojnej refleksji.

Myszę, iż miesiąc, jaki dzieli mnie od XVI Sesji Rady Kultury i Sztuki, która w dniach 29 i 30 czerwca br. odbyła się w Warszawie, stanowiłby dla mnie dystans i umożliwiłaby przybliżoną do prawdy ocenę tej narady.

Nie opuszczałem Sesji Rady Kultury w nastroju optymistycznym. I sądzę, że nie byłbym w swych uczuciach odosobniony. Sala, w której toczyła się narada, świeciła raczej pustkami, nie było na niej wielu wybitnych twórców, czuło się, że jest już w całej pełni okres wakacyjny. Dyskusja wlokła się leniwie, trochę z musu i jakby na siłę. Złazła pierwsza dzień sesji upływał w nastroju martwości, były chwile, w których miało się wrażenie, że poruszone w referatach problemy nikogo nie obchodzą. Rozczarowanie mogło pogłębić się jeszcze w kulisach, gdy ktoś, zapytany, co sądzi o obecnej sesji, odpowiedział krótko: „przymrozek”.

Kiedy jednak po powrocie do domu, zacząłem sumować (na chłodno, bez emocjonalnej otoczki) plan narady, kiedy przeżywałem dokładnie stenogram, zrzuciłem, że daje ona wcale obfity materiał do rozważań nad stanem nie tyle naszej kultury i sztuki, ile nad stanem i nateżeniem zainteresowań jej twórców. Podstawą do dyskusji były dwa referaty: min. Włodzimierz Sokorski o „Zarysach rozwoju sztuki w naszym dziesięcioleciu” i prof. Stefana Żółkiewskiego pt. „O podstawach oceny literatury i sztuki 10-lecia”. Sprawili one, że dyskusja nie obracała się wokół jednego tylko problemu, ani nawet wokół pewnego kompleksu problemów, lecz dotyczyła wszelkich możliwych spraw i zagadnień z dziedziny literatury, sztuki, architektury i teatru. Sesja przypominała więc po trochu worek, do którego każdy wrzucał to, co mu leżało na sercu, był to swoisty groch z kapustą, czasami już tylko pel-mel kultury i sztuki.

Witold Balicki mówił o pobycie teatru krakowskiego w Paryżu, Kazimierz Brandys dzielił się wrażeniami (trzeba przyznać bardzo ciekawymi) z wiedeńskiego kongresu PEN-klubu, Jan Brzechwa narzekała na stan krytyki literackiej (stanowiło to jakby pendant do obdętego niedawno plenum Związku Literatów Polskich, poświęconego zagadnieniom krytyki), Andrzej Dobrowolski rozważał możliwości dalszego rozwoju muzyki współczesnej, Romuald Gutt referował dowcipnie sytuację architektów, itd.

Miał to jednak i swoje dobre strony, tę np., że twórcy zapoznali się, chociażby częściowo tylko z pokrewnymi dziedzinami artystycznymi, z osiągnięciami i kłopotami na terenie innych sztuk.

I to było uderzające, że wszędzie mamy do czynienia z podobnymi problemami. I w muzyce, i w poezji istnieje problem granic realizmu i jego możli-

wości; i w teatrze, i w architekturze dyskutujemy sprawę stylów; i w literaturze, i w plastyce mówi się od dawna o tradycji, choć różnie się tę tradycję i walkę o nią pojmują.

Osobliwie odniosłem wrażenie, iż najbardziej z XVI Sesji Rady Kultury i Sztuki winni być zadowoleni plastycy. Nie tylko dlatego, że najczęściej mówiło się o sprawach plastycznych, ale dlatego przede wszystkim, że zdołano sobie (w każdym razie tak mi się wydaje) wyjaśnić nieporozumienia lub przynajmniej oczyścić przedpole z tych nieporozumień. Wypowiedzi Stanisława Teisseyre'a, Włodzimierza Zakrzewskiego, Aliny Szapocznikow, Aleksandra Rafanowskiego, Aleksandra Jackowskiego i Janusza Boguckiego oraz podsumowanie, w którym Stefan Żółkiewski sporo miejsca poświęcił sprawom plastyki, zmierzały do uporządkowania poglądów na cele i zadania współczesnego malarstwa polskiego. Plastycy opuszczali naradę z przekonaniem, że tradycja do której należy nawiązywać, jest nie tylko realizm XIX-wieczny (jak mniemało dotychczas wielu krytyków), ale i bliższe nam i bardziej różnorodne osiągnięcia plastyki polskiej i obcej. Że sprawa tradycji to przede wszystkim potrzeba rozbić ram malarstwa naturalistycznego, które uchodziło, nie wiedzieć dlaczego, za wzorec realizmu. Że tradycja oznaczać winna nasyconie utworu problematyką współczesną, gdyż tak pojmowali swoją twórczość najlepsi i najwybitniejsi malarze polscy minionych epok.

Ostatnie wystawy zdają się wskazywać na to, że w pogoni za słusznym odświeżeniem i pogłębieniem formy, zgubiono rzecz tak istotną i ważną, jak współczesność sztuki, bez której nie może ona istnieć i nie może oddziaływać na człowieka.

Przy sposobności dostało się mocno krytykom plastycznym, którzy — po pierwsze — piszą o plastyce niewiele, a po wtóre — piszą źle i balałutnie. Są, iż pod tym względem o wiele lepiej

działa się na terenie krytyki literackiej, choć i ta — nie dając powodów do zbyt- niego optymizmu. W każdym razie sesja ujawniła, że najbardziej ruchliwym intelektualnie związkiem twórczym jest Związek Literatów. Dowiodła ona zarazem, iż w pozostałych zrzeszeniach: plastyków, architektów, muzyków, toczy się coraz poważniejsza, coraz bardziej pogłębiona dyskusja nad podstawowymi problemami naszej sztuki.

Dziesięciolecie dostarczyło nam aż nadto materiału do nauki i przemyślenia. Jesteśmy bogatsi o dziesięć lat wielkich doświadczeń ideowo-artystycznych, o dziesięć lat sukcesów i, niestety, porażek. Ostatecznie, jest to naturalne. Gorące dyskusje, które od przeszło roku toczą się w środowiskach kulturowych naszego kraju, pogłębiają niewątpliwie naszą wiedzę w zakresie pojmowania i realizowania socjalistycznej sztuki.

XVI Sesja Rady Kultury i Sztuki, choć odbyła się w atmosferze mniejszego napięcia ideowego, niż narada literacka nad stanem krytyki, dowiodła przecież, że nasze dyskusje światopoglądowe, dyskusje ideowo-artystyczne przenikają do wszystkich środowisk twórczych, że zapuszczają tam głębokie korzenie, zmuszając do zwielokrotnienia wysiłku intelektualnego, do pełniejszej mobilizacji sił twórczych. I myśli się ten, który w kulisach określił ową sesję mianem „przymrozek”. To nie przymrozek. To po prostu dalsza próba głębszego i bardziej jednoznacznego określenia charakteru naszej rewolucji w dziedzinie kultury. To dalsza próba oddzielenia plewy od ziarna, rzeczy słusznych od rzeczy szkodliwych, rzeczy potrzebnych od takich, które godzą w podstawowe założenia naszej sztuki.

XVI Sesja Rady Kultury i Sztuki na pewno nie była efektywna, nie iskryła się od ciętych polemik, nie obfitowała w dowcipne i ośniewające wystąpienia.

Była przecież poważnie zatroskana o dalszy rozwój kultury i sztuki polskiej. I dlatego moje pierwsze wrażenie nie było trafne, bo było powierzchowne. W rezultacie uważam, że posunęliśmy się o niewielki krok, ale o krok naprzód. A to przecież coś znaczy!

JAN KOPROWSKI



Dubrownik

Stare miasto

ZJAZD W DUBROWNIKU

(Rozmowa z Bohdanem Korzeniewskim)

W dniach 25—29 czerwca br. odbył się w Dubrowniku szósty Kongres I.I.T. (Institut International du Théâtre). Uczestniczyła w nim delegacja polska w składzie: Bohdan Korzeniewski, przewodniczący, Adam Tarn i Janusz Warmiński.

Korzystając z pobytu B. Korzeniewskiego w Łodzi w związku z pracą nad filmem „Zemsta” (wespół z reż. Bohdanem Korzeniewskim) poprosiliśmy go o podzielenie się wrażeniami z Kongresu.

Rozmowa nasza zeszła oczywiście na temat charakteru i zadań I.I.T., który w Dubrowniku organizował już swój szósty z kolei kongres.

IIT czyli Międzynarodowy Instytut Teatralny jest jedną z kilku organizacji kulturalnych podlegających UNESCO. Zadaniem Instytutu jest wzajemne poznanie się narodów w dziedzinie teatru, wymiana doświadczeń, utrzymywanie stałych kontaktów itp. Celem tym służy sama organizacja IIT: każdy kraj będący członkiem IIT wysyła u siebie tzw. Ośrodek Narodowy, który reprezentuje w organizacji dany naród. Kongresy odbywające się co dwa lata wyłaniają władze naczelne IIT, 14 członków komitetu wykonawczego i prezydium Instytutu. W skład prezydium I Kongresu, który odbył się w Paryżu w r. 1945, z ramienia Polski wstąpił Leon Schiller. Na II Kongresie w Paryżu w r. 1947 Polskę reprezentowali: A. Szyfman, M. Rulikowski i R. Ordynski.

W Paryżu zawiązały się serdeczne stosunki między Polską i krajami reprezentowanymi w IIT.

W następnych latach związki te rozluźniły się i osłabły, gdyż Polska nie występując z UNESCO nie brała jednak żywego udziału w pracach tej organizacji.

— Jak przyjęto delegację polską po ośmiu latach nieobecności?

— Powrót nasz został przyjęty zarówno przez władze IIT, jak i inne delegacje, z wyrazną sympatią. Dla wielu uczestników przyjazd naszej delegacji był niejako zapowiedzią ponownego nawiązania w niedalekiej przyszłości bliższej współ-

pracy z krajami demokracji ludowej i ze Związkiem Radzieckim. Większość delegacji gorąco tego pragnęła.

Od pierwszego dnia spotykaliśmy się z sympatią i życzliwością. Właściwie Jugosłowianie okazali delegacji polskiej dużo serdeczności i rozczuli nad nami jak najtrudniejszą opiekę.

— Jaki był cel minionego zjazdu w Dubrowniku?

— Zasadniczym celem była realizacja idei poruszonej już na kilku poprzednich kongresach, tzn. utworzenie stałego teatru międzynarodowego. W tym roku powstały realne możliwości urzeczywistnienia tego pomysłu.

— Jak się to stało?

— Delegacja francuska z dyrektorem teatru Sarah Bernhard, panem A. M. Julien na czele, który dwukrotnie urządził już festiwale sztuki dramatycznej w Paryżu, przybyła na kongres z wnioskiem przygotowanym przez Francuski Ośrodek Narodowy IIT, aby zamienić scenę festiwalową, Theatre Sarah Bernhard, na teatr stały, grywający dzieła z repertuaru w ciągu roku, i nazwać go Teatrem Narodów. Delegacja francuska z właściwym sobie zmysłem praktycznym przygotowała realizację wniosku przez odpowiednie rozmowy z Rządem i członkami parlamentu, co gwarantuje szybkie i pewne jego wykonanie. Toteż przyjęty on został przez zjazd z niebywałym entuzjazmem.

Przy całej radości, jaką zainicjowano z tej okazji, większość delegacji zdawała sobie sprawę, że w tej formie, w jakiej przedstawili go Francuzi, Teatr Narodów różnił się będzie znacznie od wymarzonego Teatru Międzynarodowego. Francuzi bowiem zapewnili sobie stanowiska dyrektora i przewodniczącego i większość w Komitecie wykonawczym Teatru.

— W ten sposób — przerywam Korzeniewskiemu — teatr ten stałby się właściwie imprezą francuską, tyle tylko, że ukazywałby dorobek artystyczny różnych narodów

świata? Niewątpliwie kierownictwu Teatru Narodów będzie zależało na bogactwie i różnorodności widownisk...

— Oczywiście. Po tegorocznym niebywałym triumfie opery chińskiej na festiwalu, organizatorzy tego teatru pragną zapewnić sobie w roku przyszłym udział zespołów azjatyckich.

— W trakcie debat okazało się jednak, że kraje azjatyckie nie chcą być tylko biernymi uczestnikami festiwali europejskich. Ten punkt widzenia zajęli również Hindusi, poparci gorąco przez delegację polską.

— Czy w związku z tym wyłoniony się jakiś propozycje ze strony krajów azjatyckich?

— Delegacja Indii zaproponowała, aby drugi podobny czy może właśnie odmienny teatr międzynarodowy powstał do życia w Bombaju. Wniosek ten przeszedł jednogłośnie budząc ogromną radość zwłaszcza wśród krajów mniejszych.

Rezultatem więc chyba niezmiernie doniosłym zjazdu w Dubrowniku było trochę niespodziewane dla niektórych delegacji powołanie do życia nie jednego lecz dwóch teatrów o charakterze międzynarodowym. Warto wspomnieć, że Indie, które słusznie pretendują do wielkiej roli politycznej, odniosły jeszcze jeden poważny sukces. I to dzięki, w dużej mierze, delegacji polskiej, ściślej mówiąc — przytomności umysłu Adama Tarna.

Indie od dawna domagały się, aby jeden z najbliższych kongresów odbył się w ich kraju. Tym razem dopomogliśmy się dosyć stanowczo, aby zjazd w roku 1957 urządzony został w Indiach.

— Ciekawe, jak ustosunkowały się do tego delegacje krajów kapitalistycznych i władze I.I.T.?

— Wniosek ten wpłynął w wielkie zakłopotanie zarówno władze IIT, nie rozporządzające odpowiednimi funduszami (dotacja roczna UNESCO dla IIT wynosi tylko 25 tysięcy dolarów), jak i większość

PODOBNO kilka miesięcy temu do jednej z większych księgarni, wstąpił czterech zamaskowanych osobników, uzbrojonych w rewolwery. Zażądali określonych książek, ale wystraszony sprzedawca nie mógł ich znaleźć ani na półkach, ani w magazynie. Widmo jego niechylnej śmierci odziedziczone „żelazną rezerwą” dla najbliższych klientów, no i wystawa, gdzie gangsterzy znaleźli kilka z żądanych pozycji. Wbrew oczekiwaniom zapłacili co do grosza i wyszli. Na ulicy, kiedy już zdjęli maski z twarzy i wrzucili drewniane rewolwery do kosza na śmieci, przywódca bandy rzekł:

— A nie mówili? W inny sposób dziś nie kupisz!

Pomyślmy przez chwilę. Czy tego rodzaju napaść na księgarnię jest możliwa? Owszem, owszem, przy dobrej woli da się nawet dokładnie określić, kim byli owi zamaskowani ludzie i o jakie dopominali się książki.

Można z całym szacunkiem dla prawdy przypuszczać, że księgarza sterowałyby uczestnicy konkursu czytelnickiego dla szkół podstawowych. Konkurs, zakończony przed kilku miesiącami, obejmował akurat te książki, których w księgarniach ani na lekarstwo. Konia z rędem temu, kto kupi „Przygody barona Muenchhausena” Gautiera, „Indianina Pablo” — Bruecknera, „Elektryczne schody” Galscyńskiego, „Uczennice 1-szej klasy” — Szwarczyńskiego czy utwory Brzechwy. Mamy zupełne prawo sądzić, że młodzież, po odbyciu wyczerpujących wędrówek po księgarniach, zamiast narzekać, wzięta się na sposób i kosztem nerwów sprzedawcy zabierała sprzed nosa egzemplarz książki odłożony dla bibliofila czy „swojego” klienta. Powstaje oczywiście kwestia — czy tego rodzaju wyczyn powinien być karany, skoro jego główną przyczyną tkwi w przywiązaniu do dobrej książki. I kto powinien być tu ukarany: młodzież, księgarz, czy może — durniejsi odwagę — wydawca?

Mogli to być uczniowie klas licealnych, którzy chcieli po prostu... odrbić lekcję, poznać literaturę ojczyzną i inną, tak jak to przewiduje program nauczania.

Wiadomo nie od dziś, że biblioteki szkolne cierpią na brak odpowiedniej ilości lektur, kupi je w księgarni bez fortelu — nieposob. Są kłopoty z Ze romskim i Konopnicką, ostanio trochę zażegnane, ale do dzisiejszego dnia rzadko trafi się szczęśliwcowi dostać coś więcej Prusa niż „Lalkę” lub „Krokioty”. Wśród rozmaitych figlów, jakie dotąd spłatali wydawcy czytelnikom, figiel z Trylogią stanowczo jest najlepszy. Rzucili mianowicie na rynek „Piotr” i „Pana Wołodyjowskiego”, pozwalając nam te części Trylogii nabywać osobno. Natomiast do niedawna jeszcze „Ogniem i mieczem” trzeba było kupować wraz z resztą, przy czym księgarz, zgodnie z nigdzie nie napisaną, ale ważną „dyrektywą”, gorąco namawiał, aby dokupić jeszcze jedną książkę, stanowiącą prawidłowy komentarz ideologiczny do pierwszej części Trylogii. W sumie ta troska o kręgosłup polityczny czytelnika kosztowała ponad 100 złotych i nie skutkowała. Prawdziwie to szczęście, że nie każdy nonnes ma długi żywot.

Bohaterami anegdoty, owymi gangsterami, mogą być i starsi ludzie, o-

Proszę o głos!

Gangsterzy w księgarni

cowie, wysłani w maskach do księgarni przez swoje dzieci. Tak, tak — kupno bowiem dobrej, ładnie wydanej książki dla dzieci związane jest z nie byle jakimi wysiłkami fizycznymi i kosztami. Powiedzmy, że pewien do- bry ojciec chce sprawić radość swojej pociesze i kupić jej barwną książeczkę p. t. „O Janku co psom szyl buty” Stowackiego. Co musi w tym celu uczynić? Musi w jednej części miasta kupić „Entliczek Pentliczek” (jeżeli dostanie), zamienić to w drugiej części miasta na „Zosie samosie” (jeżeli dostanie), wyjechać z nią na prowincję, gdzie po długich wozach — w jednym wypadku na sto — impreza się powiedzie, to znaczy zamieni książkę i uśmiechnie się szczęśliwe dziecko.

Zasługi wydawców na polu krzewienia turystyki przymusowej są tedy niewątpliwie, gorzej natomiast z zaspokajaniem potrzeb naszych dzieci.

Zamaskowanymi gangsterami mogli być — studenci, pracownicy naukow, literaci, jeżeli poszukiwali rozpaczliwie „Słownika wyrazów obcych”. Podobno zdarzały się wypadki, że szczęśliwych posiadaczy napadano w biały dzień na ulicy. Słychać, że wśród na- pastników rozpoznawano i... wydawców.

Osobliwe praktyki wydawnicze mają szerszy zasięg niżby to się mogło z po- zoru wydawać. Spróbujcie np. skompletować dzieła Zeromskiego. Zaczęła — jak wiadomo wychodzić w „Czytelniku” — „seria zielona”. Tomy — to także wiadomo — ukazywały się rzadko, wydawanie wlokło się w nieskończoność, wreszcie po kilku latach zostało niespodziewanie przerwane. Nie inaczej z drugą serią dzieł tego pisarza, nazwaną — „biała”. W ten sam sposób ruszył z kopyta, lecz nie ujechał zbyt daleko Państwowy Instytut Wydawniczy przy próbie edycji prac Aleksandra Świętochowskiego i Ludwika Krzywickiego. Rzecz zgola nieprawdopodobna, ale nawet Mickiewicz ma wyrażone pecha. Jakże bowiem namiętny bibliofil czy szczerzy entuzjasta naszego wie- szcza może skompletować jego dzieła, skoro jedne tomy dzieł wydano w kil- kudziesiąt tysięcy nakładach, inne w nakładach kilka razy mniej- szych. Większość nakładów otrzymała utra- tym zwycięzcy Warszawa i kilka ma- łych osad, reszta zaś skazana będzie na tak zwany „los szczęścia”.

Albo jeszcze inny przykład, świad- czący tym razem o pomysłowości na- szych wydawców. Chodzi tu o książki kolorowe, ta znaczy takie, których tom pierwszy szczyty się okładką zupełnie innej barwy niż drugi, ten inna niż trzeci itd. Tak właśnie pstrakato wy- dano powieści Satanowskiej — „Pod wiatr”, czy 2 kolumnowe tomy „Cichego Domu”.

Czytalem gdzieś, bodaj w „Głosie Księgarza”, interesującą propozycję. Autor wypowiedzi proponuje, żeby nie- którzy wydawcy — prezesi, redaktorzy, krytycy — otrzymywali po każdym figlu specjalne ubrania: marynarki bez rękawów, lub z jednym rękawem krótkim, spodnie z jedną krótszą nogawką, buty bez jednej podeszwy. Za bra- korobstwo w dziedzinie kultury.

Zaiste wielką mielibyśmy z tego sa- tysfakcję, gdyby tak było.

KRONIKARZ

dotychczasowy prezes komitetu wykonawczego Jean Darcante i nowoobрани Milan Bogdanowicz oraz obserwator z ramienia UNESCO, stwierdził, że od dawna już żaden kongres nie odznaczał się taką wzajemną życzliwością i chęcią porozumienia.

Tak, z całą pewnością można stwierdzić, że i nad tym kongresem międzynarodowym o młoi- szym, rzecz prosta, znaczeniu unosił się duch cza- su, wyraża chęć pokojowego współżycia narodów. Gorące przyjęcie fragmentów przemówienia prze- wodniczącego, który wyraził nadzieję, że Chiny Lu- dowe zechcą również stać się członkiem IIT (kon- gres przy żywym współudziale delegacji polskiej skreślił z listy członków ośrodek Chin nacjonalistycz- ny); oświadczenie delegata norweskiego, który na podstawie rozmów odbytych w Moskwie stwierdził, iż Związek Radziecki żywo interesuje się pracami IIT, co przyjęte zostało długotrwałymi oklaskami — wszystko to świadczyło o chęci pojednania...

Do powodzenia, do łagodnego uśmiechu, który nie schodził z twarzy delegatów w czasie obrad, w niemałym stopniu przyczyniło się miejsce zjazdu.

— W jakim sensie?

— Dubrownik należy do najpiękniejszych miejsc na kuli ziemskiej. Cudownie zachowane miasto re- nansansowe ze swymi białymi murami obronnymi i willami wśród kwitnących drzew i krzewów, ze swoją mieniącą się szmaragdem i opalem zatoką, z wietrzystą niemal pogodą sprzyjało niewątpliwie pogodzie usposobień.

Reszty dokonała zadziwiająca gościnność gospo- darzy. Zaimponowali nam nie tylko serdecznością i przyjaźnią, ale i znakomitą organizacją. Mogli- śmy w pełni rozkoszować się pięknem kraju i pięknem jugosłowiańskiej sztuki teatralnej.

Kongres IIT zbiegł się z dorocznym festiwalem teatralnym w Dubrowniku. Dzięki temu uczestnicy mogli obejrzeć przedstawienie „Hamleta” grane na starym zamku Św. Wawrzyńca czy przedstawienie „Ifigenji w Taurydzie” Goethego na stokach góry, wśród pięknych sosen oświetlonych reflektorami. Na długo zostanie w pamięci, poza oczywiście, świetną grą aktorów, muzyką cykad i fales zapachów od strony gór, stanowiące o niezwykłym klimacie tych przedstawień.

Rozmowę przeprowadził
WACŁAW MROZOWSKI

SPOTKANIA WIEDEŃSKIE

(Dokończenie ze str. 1)

port, barwę dni. Stary człowiek westchnął.

— Ach, Seweryna, to były dziwne czasy.

Tym zwrotem podkreślił dystans wieku między sobą i mną, ale równocześnie stworzył nastrój zupełnej bezpośredniości. Mówił o latach, kiedy władza Hitlera rosła z dnia na dzień i tylko nieliczni widzieli tego człowieka we właściwych proporcjach.

Słuchałam autorskiej opowieści o powstaniu „Toporu z Wandsbeck”, książki tak ponurej w swej koncepcji kompozycyjnej, a tak mimo to porwijącej, tak nad wyraz pełnej miłości życia.

Siedzieliśmy w olbrzymiej sali wiedeńskiej Ratusza, gdzie właśnie odbywał się bankiet. Melodie Mozarta i Mendelsohna przeplatały się z walcami Straussa. Na wprost nas pani Margareta Beatrice Zweig, otulona w siwy jak mgła jesienna szal, uśmiechała się serdecznie obserwując swego małżonka. Rozmawialiśmy także o Warszawie i o minionej wojnie. Arnold Zweig powiedział mi, że w roku 1948, podczas pobytu w Polsce zwiedził Oświęcim i Birkenau.

Dokoła toczyły się rozmowy, przysiadł się do naszego stołu Bodo Uhse, przyszedł Franz Carl Weiskopf, obaj tak bezpośredni, że po godzinie znajomości można przysiąc, iż jest się z nimi w przyjaźni od dawna, od samego dzieciństwa.

Problemy PEN-clubu zaprzątały uwagę wszystkich, zwłaszcza że Kongres debiegł końca, pozostało już nie wiele czasu na literackie kontakty. Pijąc wino, przeglądaliśmy podarowaną nam Antologię pisarzy Austrii, „Die lebendige Stadt”, i rozmawialiśmy z rosnącymżywieniem. Arnold Zweig oburzał się na nas do bólu.

— Młodzie! Dlaczego nie tańczycie? Bierzcie przykład z tego pana.

Wskazał sąsiedni stół, gdzie w kręgu dwunastu strojnych, lecz leciwych Angielek siedział emigrant z Polski, Zbigniew Antoni Grabowski, autor znanej przed wojną książki „Ciszy lasu i twojej ciszy”. Przy pierwszych tonach muzyki wstawał i obtańcowywał cierpliwie swoje towarzyszy. Teraz spojrział w naszą stronę i ukłonił się.

— Kto to jest? — zapytał Arnold Zweig.

Wiedeńskie wino wpływa dobrze na dowcip. Odpowiedziałam bez namysłu: — Polak w Anglii na ciężkich robotach...

Zapędy dyktatorskie

Konferencję prasową zorganizowano tuż po zakończeniu ostatniej sesji PEN-clubu. Przewodniczyła Maria Pujmanowa, obok niej przy stole prezydiatym siedzieli Kazimierz Brandys i Wacław Rzeżacz. Dziennikarze — zarówno postępowi, jak konserwatywni — pragnęli wiedzieć, jak oceniamy przebieg 27 Kongresu. Chociaż tegoroczne obrady poświęcone były sprawom teatru, szczególne zainteresowanie budziło polityczne wystąpienie prezydenta międzynarodowego PEN-clubu, mister Charles'a Morgana. Posypały się pytania. Prasa wiedeńska podawała już poprzednio sprawozdania z Kongresu, a nawet z poprzedzeń egzekutywy PEN (które obrady powinny być tajne), teraz więc należało tylko skomentować wydarzenia.

W dniu uroczystego otwarcia obrad 27 Kongresu prezydent PEN mister Charles Morgan, popełnił niekonsekwencję, podkreślając najpierw ponadpartyjność i apolityczność naszej organizacji, a w chwili potem wygłaszając napastliwe tezy polityczne. Mobilizował opinię członków PEN przeciwko krajom — jak mówił — „totalitarnym”, w których dotąd jeszcze nie ma ośrodków PEN. Na wypadek gdyby ze strony którejśkolwiek z tych krajów padły propozycje utworzenia ośrodka PEN, organizacja nasza — wedle sugestii Charles'a Morgana, narzucającej z dyktatorskim naciskiem — powinna odmówić. Była to więc, wbrew zawartym w Kartie PEN-clubu zasadom — ostra, prowokacyjna mowa polityczna, wymagająca natychmiastowej dyskusji. Ale prezydent międzynarodowego PEN postanowił nie dopuścić do żadnych oficjalnych rozważań na ten temat. Pokierowano obradami w ten sposób, że w programie dwu pierwszych dni zagęszczono przemówienia na temat teatru. Później zaczęły się posiedzenia tajne, dostępne tylko dla członków egzekutywy. Właśnie wtedy zaczęła się dramatyczna walka pisarzy występujących przeciwko temu przymusowemu milczeniu.

Z protestami pisemnymi, składanymi przez pisarzy postępowych, Charles Morgan poradził sobie na pozór łatwo. Podał najpierw pod głosowanie kwestię, czy komitet wykonawczy uważa za potrzebne, aby z racji swojego wystąpienia złożył urząd prezydenta PEN. Nikt oczywiście tego nie żądał, wstrzymywano się więc od głosu, albo głosowano przeciwko wnioskowi. Wówczas Charles Morgan poczuł się mocno w siodle i postawił wniosek następny, żeby z tą chwilą zaprzestać dalszych

rozmów na temat jego inauguracyjnego wystąpienia. To jednak wywołało tak wielkie oburzenie, że chociaż wniosek przeszedł na egzekutywie większością głosów (przy proteście pisarzy postępowych), dyskusje kulturalowe dopiero wtedy rozgorzały na dobre. I co najważniejsze, co najbardziej znamienne — nie tylko delegacji z krajów demokracji ludowej, ale także ludzie o różnych światopoglądach, potępli metody wprowadzone przez Charles'a Morgana. Delegat UNESCO, Roger Caillois, w serdecznych rozmowach z polską delegacją, dawał wyraz oburzeniu, potępli wystąpienie Morgana inni, byli komuniści, Ignazio Silone, w płomiennym przemówieniu domagał się dla Kongresu prawa dyskusji. Nie chciano przystać na dyktaturę.

W rezultacie Charles Morgan wyjaśnił w dniu zakończenia Kongresu, że głosił tylko poglądy osobiste, że wdzięczny jest wszystkim, którzy mu zwrócili uwagę i że tych, których uraził, gotów jest przeprosić. A więc odwołał w pewien sposób to, co mówił poprzednio, chociaż pewno nie zmienił swojego sposobu myślenia tak szybko, szybciej, niż to czyni bohater pozytywnej w złym utworze.

Szczera rozmowa

Wydało mi się, że spotkanie w Towarzystwie Przyjaźni Austriacko-Polskiej będzie nudne, poszłam też na nie bez entuzjazmu. Wolałabym ostatni wieczór w Wiedniu spędzić bardziej po wiedeńsku. Chodzić ulicami, patrzeć na to wspaniałe, uroczne, kolorowe miasto, może posiedzieć w parku i słuchać muzyki, albo pojechać raz jeszcze nad Dunaj.

Ale Gustaw Morcinek umówił się już w naszym imieniu, należało więc pójść. Postanowiłam usiąść tam cicho i patrzeć niejaką z zewnątrz, jakbym należała do gości. Morcinek skończył swoje zagajenie o literaturze współczesnej i jej niedawnych, dziś już na ogół przewyżczonych błędach. Zapadła cisza.

Siedzimy na wprost nieznanym ludzi, jak na wieczorze autorskim. Oczy, rysy, poprawność i spokój. Odzywa się Michał Rusinek. Mówi, że widzi Wiedeń po raz drugi. Przejeżdżał wtedy w czasie wojny i patrzył na to miasto przez okratowane okienka bydlęcego wagonu, gdy go wieziono do obozu koncentracyjnego. Teraz, gdy wjeżdżając do Wiednia patrzył przez okno luksusowego wagonu turystycznego, przypominał sobie wojenne dni.

Widzę, że to wywołało wrażenie.

Po nim zabiera głos Jan Parandowski. On również opowiada o dniu, gdy był w Wiedniu po raz pierwszy. Minęło już chyba pięćdziesiąt lat, ale wczoraj przy Mariahilferstrasse pisarz odnalazł ów sklep masarski, który się wówczas tak podobał małemu chłopcu. W owym czasie wisiał tam portret Franz Josefa, otoczony wieńcem z parówek, a niżej znajdował się wierszyk o cesarzu i o wiedeńskich „Wurstchen”. Parandowski powtarza wiersz z pamięci, wywołując, oczywiście, wesołość. Atmosfera ociepliła się znacznie, mimo to wydawało się, że spotkanie to upływie bez większych oznak zainteresowania ze strony publiczności.

Wtedy właśnie zabrał głos profesor Langhammer i z niezwykłą swadą, głosem pełnym, brzmiałym jak dzwon, apelował do pisarzy o prawdę w sztuce. Zastrzegł się zresztą taktownie, że nie ma na myśli wyłącznie obecnych, mimo to było jasne, w kogo tak ostro celuje. Wzywał nas, byśmy nie ulegali dyktandowi, żebyśmy słuchali własnego sumienia, nie nacisku polityki, żeby przedmiotem sztuki był człowiek, odwieczny obiekt literatury, nie zaś najcięższe nawet zagadnienia ekonomiczne.

Po tym przemówieniu zrobiło się bardzo cicho.

Dopiero teraz ten stary człowiek zaskakiwał mnie naprawdę. Czyżby był pokrewną duszą profesora Sonnenbrucha? Szuka prawdy. Chce ją poznać. Od Sonnenbrucha różni się swoją aktywnością, ale wypracowany przezeń obraz świata jest skrzywiony.

Kazimierz Brandys wyjaśnia, że chciałby zapewnić profesora Langhammera, z którym zaprzyjaźnił się w Krems, iż nikt z naszej siedmioosobowej delegacji nie napisał książki o traktorach. Wystarczy powiedzieć, jakimi problemami zajmowali się w naszych utworach przez minione dziesięciolecie. Tu sumiennie wyliczył, co każdy z nas napisał od czasu wojny, żeby przekonać słuchaczy, iż traktor, ani problematyka produkcyjna nie jest postrachem polskiej literatury. On sam pisał swoje książki, nie ulegając niczyjemu naciskowi, realizując własne, autorskie pragnienia. Jest przekonany, że koleżdy są w podobnej sytuacji.

Jeszcze nie skończył mówić, gdy na sali zaczęły się podnosić dźwięki. Nasz gospodarz miał teraz mnóstwo pracy, z której zresztą wywiązywał się nadzwyczajnie: z uwagi na duży procent obecnych na sali wiedeńskich Polaków

mówiliśmy po polsku — on szybko i celnie tłumaczył na niemiecki, chwytając w lot myśl, intencję i nawet styl wypowiedzi.

Młoda kobieta zapytała nas tonem oskarżycielskim (a oskarżenie to na pewno należy się jakimś ospałym urzędom), jak otrzymać książki z Polski, gdy na list odpowiadają czasem po upływie pół roku.

Jan Parandowski zapewnił: — Odpowiem od razu, gdy pani napisze na mój prywatny adres.

Następne pytanie wymierzono bardzo celnie, zwłaszcza jeśli pamiętać, że Austria, to kraj, dla którego turystyka jest chlebem powszednim. Mówi Wiedenka:

— Dlaczego do Polski nie wolno przyjeżdżać swobodnie w celach turystycznych?

W zupełnej ciszy, świadczącej o wielkim zainteresowaniu obecnych, odpowiada Kazimierz Brandys. Mówi spokojnie, swobodnie i dzięki temu przekonująco.

— My, którzy budujemy socjalizm, mamy dużo wrogów. Byli tacy, którzy przyjeżdżali, żeby narobić w kraju szkód, albo po wyjeździe opowiadać wiadomości wysane z palca. Gdyby do pani mieszkanią przyszedł ktoś, kto by je próbował zniszczyć, a potem jeszcze obmówić panią, zapewne byłaby pani ostrożna w wyborze gości.

W pierwszym rzędzie tuż na wprost nas siedzi młody mężczyzna. Słucha z zainteresowaniem, a w tej chwili zwraca się po polsku do Brandysa. Wyjaśnia, że jest amerykańskim dziennikarzem. Dziś rano, podczas konferencji, zauważył leżące na biurku w pewnej redakcji zaproszenie na ten austriacko-polski wieczór. Odłożył. Nie okazał, że go to interesuje. Wieczorem przyszedł. Zna język niemiecki, będzie jednak mówić po polsku. W tej chwili ktoś proponuje, żeby przeszedł na niemiecki, znany wszystkim obecnym. Kiwam uśmiał się ręką — rozumiem, że ten człowiek pragnie nam zaprezentować swoją polszczyznę, rzeczwiście doskonałą. Pytanie dziennikarza amerykańskiego dotyczy wydawanej w Paryżu „Kultury” i numerów, poświęconych krytyce polskiej literatury.

Kazimierz Brandys odpowiada, że przegląda często „Kulturę” i ze szczególnym zainteresowaniem czytał numer, o których mowa. Przyznaje, że my w kraju zgadzamy się z wieloma wyrażeniami tam zarzucanymi. Myślimy też doszli do świadomości wielu naszych błędów. Tu, w Wiedniu, rozmawialiśmy o tych sprawach ze spotkanymi Polakami-emigrantami. Niewątpliwie ci z „Kultury” w wielu punktach mają rację, choć jako ludzie przeciwni naszemu ustrojowi, krytykujący z uboższą, są na pewno dalecy od sądu obiektywnego.

Polak z Ameryki mówi jakby tonem osobistej urazy:

— Pan pominął w swojej ostatniej uwadze tych emigrantów, którzy są przyjaźni i życzliwi krajowi, chociaż pozostają z daleka.

Brandys zapewnia, że wemy i o takich. Nie zapominamy o nich. My w Polsce mamy dużo pracy. Czekamy na każdego, kto zechce nam pomóc.

Dziennikarz amerykański siedzi tak blisko, że jego cicho wypowiedziane słowa brzmią jak osobiste, ludzkie pytanie:

— Czy można temu zaufać? Brandys odpowiada:

— Mówię, jako pisarz. Nie jest jednak wykluczone, że i czynnik oficjalny wypowiedzą swój pogląd na tę sprawę. Z głębi sali, spod okna, słyszę wyraźny szepot: — Amnestia.

Nie mogę się domyślić, kto to powiedział, za mało tu znam ludzi.

Tempo pytań i odpowiedzi wzrasta. Podnoszą się ręce, po kilka równocześnie. To, co się tu słyszy, bywa ufnie i nieufne. O ileż jednak jest cenniejsze, aniżeli milczenie. Pada pytanie, czy o bok oficjalnej krytyki brama jest w Polsce pod uwagę krytyka czytelnicza. I równocześnie drugie: czy dobre warunki stworzone podobno przez Polskę Ludową nie rozpieszczają pisarzy.

Gustaw Morcinek opowiada o czytelnich ankietach i dyskusjach, prowadzonych na łamach czasopism. Gdy wspomina o nieodzownym warunku zainteresowania literaturą — o taniej książce, o tym, że w Polsce książkę można kupić za cenę paczki papierosów, salę przebiega głośny wiew zdumienia. Bo w Wiedniu książka jest bardzo droga. Leżą za lustrzanymi szybami tomy, których cena (mówię o książkach popularnych i powieściach) sięga pięćdziesięciu szylingów. A bułka kosztuje 80 groszy i wiedeński szynceł w eleganckiej Rathauskeller dziesięć szylingów. Więc książka w Austrii należy do luksusu. Myślimy już o podobnych sytuacjach zupełnie odwrotnie.

Wrywam się do mówienia tuż po Morcinku. Niezwykły nastrój tego spotkania — chłonność sali, która sprawdza jakieś inne, dawniejsze informacje, bada nas, prostuje swoje sądy — sprawia, że wyzbywam się nieśmiałości. Mówię o krytyce czytelniczej, z jaką pisarz spotyka się u nas w terenie, gdzie na setkach zebrań urzą-

JERZY WALEŃCZYK

Do nieznanego Niemca na Zachodzie

Nie wierz im, jeśli ci powiedzą o mnie:

On jest twoim wrogiem, połącz go z ziemią,

Aby zakiełkowała Nowa Europa.

Nie wierz im, jeśli ci każą podpalić mój dom,

Mówiące ubijesz nad nim popiół gładko,

Bo ogień i krew spełniają przyszłość.

Nie bierz mnie za kogoś, kto chce cię zaskoczyć,

Drzemiącego w ogrodzie łagodnych, zacisznych snów,

Miedzy fioletową nocą i brzaskiem kwitnącym.

Któryś jest moim bratem dalekim, przyjacielu,

Cudzoziemskie imię i rysy nieznane;

Oto godzina zapłaty dla młodych w uniformach.

Oto godzina zapłaty dla gestów bez wzruszeń,

Dla siły bez litości, dla lat bez zieleni.

Oto godzina zapłaty drzemiącego wśród zapatrzonych w bezkresy pól.

Czyżbyś zakłócać chciał przestrzenie?

Czyżby to budziło podziw twojej matki?

Czyżby to budziło miłość twoich kobiet?

Ja i ty jesteśmy tu nie więcej niż sześćdziesiąt lat.

Rodzimy się, płodzimy, umieramy

Placząc, ciesząc się, modląc.

Tu, gdzie gniewne dęby dniem i nocą

Burzą się przeciwko lecącemu niebu

I nie ma spokoju gałąź ani liść

Jedna jest ziemia, stara, szalona cma błądząca,

Odbita w czarnych lustrach odślanianych światów,

Aby się pięło życie mądrych i pogodzonych.

JERZY FELIKSIK

Stare i nowe

W starych domach od spróchniałych progów

Odpadają brzęczące podkowy,

Które szczęście wnieść miały do domu

Spod koniskich kopyt.

Ale koniom co w dziewięćset piątym

Trafiwały łódzkich robotników

I na pańskie chodziły roboty,

Nikt szczęścia nie przykuł.

W starych domach na okiennej szybie,

Co zna ciężar łez najmłodszych oczu,

Nie odnajdą szczęścia dla dziewczynek

Biedronki z warkoczów.

Tyle smutku, krzywdy, nienawiści

Przy drzwiach starych obok rdzy narosło,

Że dziś jeszcze zawias gniewnie skrzypi

Jak zepsute krosno.

Więc bez żalu, z wiarą w sercach silnych,

Już bez podków a z kluczami w rękach,

Od przyjaźni i życzliwi krajowi, chociaż

Pozostają z daleka.

Brandys zapewnia, że wemy i o takich. Nie zapominamy o nich. My w Polsce mamy dużo pracy. Czekamy na każdego, kto zechce nam pomóc.

Dziennikarz amerykański siedzi tak blisko, że jego cicho wypowiedziane słowa brzmią jak osobiste, ludzkie pytanie:

— Czy można temu zaufać? Brandys odpowiada:

— Mówię, jako pisarz. Nie jest jednak wykluczone, że i czynnik oficjalny wypowiedzą swój pogląd na tę sprawę.

Z głębi sali, spod okna, słyszę wyraźny szepot: — Amnestia.

Nie mogę się domyślić, kto to powiedział, za mało tu znam ludzi.

Tempo pytań i odpowiedzi wzrasta. Podnoszą się ręce, po kilka równocześnie. To, co się tu słyszy, bywa ufnie i nieufne. O ileż jednak jest cenniejsze, aniżeli milczenie. Pada pytanie, czy o bok oficjalnej krytyki brama jest w Polsce pod uwagę krytyka czytelnicza. I równocześnie drugie: czy dobre warunki stworzone podobno przez Polskę Ludową nie rozpieszczają pisarzy.

Gustaw Morcinek opowiada o czytelnich ankietach i dyskusjach, prowadzonych na łamach czasopism. Gdy wspomina o nieodzownym warunku zainteresowania literaturą — o taniej książce, o tym, że w Polsce książkę można kupić za cenę paczki papierosów, salę przebiega głośny wiew zdumienia. Bo w Wiedniu książka jest bardzo droga. Leżą za lustrzanymi szybami tomy, których cena (mówię o książkach popularnych i powieściach) sięga pięćdziesięciu szylingów. A bułka kosztuje 80 groszy i wiedeński szynceł w eleganckiej Rathauskeller dziesięć szylingów. Więc książka w Austrii należy do luksusu. Myślimy już o podobnych sytuacjach zupełnie odwrotnie.

Wrywam się do mówienia tuż po Morcinku. Niezwykły nastrój tego spotkania — chłonność sali, która sprawdza jakieś inne, dawniejsze informacje, bada nas, prostuje swoje sądy — sprawia, że wyzbywam się nieśmiałości. Mówię o krytyce czytelniczej, z jaką pisarz spotyka się u nas w terenie, gdzie na setkach zebrań urzą-

dzanych w szkołach, w zapadłych wsiach, w małych miasteczkach, znajduje czasem najwierniejszych przyjaciół — swoich czytelników. Usiłuję także podważyć przestarzałe, wedle mnie chyba kapitalistyczne mniemanie, że twórca, aby móc tworzyć, aby się jego talent mógł rozwijać, powinien być głodny i mieć podarte buty. Tymczasem żadnemu pisarzowi nie zaszkodził dobry księgozbiór, ani możliwość swobodnego podróżowania, na co przecież potrzebne są środki. Zresztą o rozpieszczaniu nie ma mowy, manna nie spada nam na głowy — pracujemy bardzo dużo.

Koledzy mnie gromią, że się za bardzo rozgadałam, a jest już późna godzina i zaciekanie sali nie słabnie.

Teraz pada pytanie znamienne:

— Jak się przedstawia stan polskich bibliotek, z więc 1) czy wiele z nich zniszczyła wojna, 2) czy pisarz pragnący się zapoznać z literaturą minionych wieków może znaleźć odpowiednie książki w kraju, czy tylko za granicą?

Mówi Jan Parandowski. Daje wstrząsający obraz zniszczenia przez hitlerowców bibliotek państwowych i prywatnych (w tym i biblioteki Jana Parandowskiego). Potem opowiada o odbudowie bibliotek, o odnajdywaniu cennych dzieł, o Bibliotece Jagiellońskiej i jej zbiorach.

Po skończonym zebraniu nastąpiła tylko zmiana miejsc — słuchacze przysiedli się, wymienialiśmy nazwiska,

adresy, zostawiliśmy na pamiątkę naszego pobytu trochę książek polskich i obcojęzycznych o Polsce.

— Szkoda — mówił mi potem Brandys — że nie mamy tu kogoś w rodzaju Heleny Teigowej, która od lat dostarcza Czechosłowacji przekładów polskiej literatury.

W Austrii spotykaliśmy się z taką falą zainteresowania, jak ludzie z kraju, gdzie wczoraj wyładowali Marsjanie. Od pytań będących dowodem kompletnej nieświadomości, jak: „Z której Polski jesteście?” albo — „Czy przyjdzie tu również pan Prus, o którego książkach wspominaliście?” — aż do kwestii świadczących o dość dokładnych informacjach na temat naszego kraju — wszystko to dowodzi rozbudzonej ciekawości.

Powtarzano nam:

— Powinniście tu przyjeżdżać częściej.

Jestem przekonana, że to prawda. Tym bardziej, że znowu nie każdy jedzie za granicę po to, by uciec z kraju. Niech ucieka, komu źle. Dla milionów ludzi rozstanie z ojczyzną byłoby dramatem. Bo miliony Polaków mają wielkie przywiązanie do tej szarej i może nie dla wszystkich najpiękniejszej ziemi, tak jak Eskimosi mają przywiązanie do swojej białej i może nie dla wszystkich najpiękniejszej ziemi.

SEWERYNA SZMAGLEWSKA

KRONIKA Nr 7

W KREGU NIEUFNOŚCI I DRWINY

„Współwinni“ Goethego w Teatrze Powszechnym

Ta zreżysowana dwudziestoletniego poety jest wcale uroczą niespodzianką dla nas, widzów, którzy w okresie dokuczliwej kanikuli, a na zakończenie interesującego tegorocznego sezonu, otrzymujemy tyle miedzawkowych wzruszeń i emocji. Dank i ukłon w tym miejscu Teatrowi Powszechnemu, szczególnie — kierownikowi literackiemu za trud inteligentnych poszukiwań.

Niespodzianka ta nie mieści się jedynie w repertuarowym odkryciu; jej zadziwiający rdzeń kryje się w pozornie zabawnych i białych zdarzeniach czterech osób, z których końcowy wniosek brzmi zastanawiająco poważnie i oskarżycielsko.

Muszę przyznać, że byłem trochę zaskoczony zachowaniem się utracjusza Soellera w scenie nocnego rendez-vous, Zofii z Alcestem. Pomysłcie: kwadrans przysłuchiwać się czułym wyznaniom kochanków i oglądać prawie dotykane dowody zdrady żony! Ma rację Soeller; to rzeczywiście nierzadko się zdarza, nawet mężom... Rozumiem doskonale, że nie mógł on ujawnić swej obecności, bowiem groziłoby to zdemaskowaniem jego złodziejskiej wyprawy, ale nie mógł też wyzwać uwodziciela na pojedynkę, gdyż taka propozycja nie wchodzi w zakres mieszczańskiego obyczaju, a co dość istotne, trzeba by tu przekroczyć ramy komedii.

Goethe nie myślał z tego problemu zrobić tragedii, dlatego też w tym komediowo-satyrycznym ujęciu zawiera się drapieżne, przenikliwe i krytyczne widzenie świata, który otaczał poetę.

A jakże kończą się ostatecznie te perypetie? Konczą się „uczciwie, solidnie i tanio“. Uczciwie, bo przecież nie zatajono przed sobą żadnego z świństw, obnażano je szczerze, z pogodnym uśmiechem; solidnie — nie przecież, bez mała jak w „Moralności pani Dulskiej“, nie przedostanie się poza ściany; tanio, bo nikt tu nic nie stracił, obyło się bez sztyletu i, miejmy nadzieję, nie odbije się to na interesach „Gospody pod czarnym niedźwiedziem“.

Zważmy, że utwór ten powstał w siedemdziesiątych latach XVIII wieku, w epoce, kiedy Diderot w „Ojcu rodziny“ (1758), Lessing w „Emilii Galotti“ (1772), a Fryderyk Schiller w „Intrydze i miłości“ z całą namietnością ukazała wielkość moralną mieszczańskiej rodziny, jej niepokalany honor, ambicję, miłość, wzniosłość i szlachetność uczuć i myśli. Zniechęca honoru można było okupić ceną trucizny i sztyletu; pohańbione dziewczę Lufza i Emilia nie mogły żyć w zaciętych i cnotliwym świecie mieszczańskim. Takie twarde i nieubłagane są rygory etyczne, taką krwawą rehabilitację nakazuje honor zdepty i sumienie.

Tak było w tragedii. W „płaczliwej komedii“, tak charakterystycznej dla owej epoki, pokaże się z nadmiarem ekliwiczności dzieje niewinnych, nieszczęśliwych serc, a z ich postępowania widz

czy czytelnik wysnuwał sobie moralne wzorce. Cóż za niespodzianka! Klimat i rzeczywistość „Współwinnych“ ani na moment nie przypominają tamtych utworów; Goethe jest niezmiernie daleki od patetycznej lub bezkrytycznej apologii żywota pocziwego mieszczaństwa, nie ulega też wcale aktualnemu podówczas afektowi dydaktycznemu. Autor nie uzurpuje sobie śladem moralistów tej epoki prawa apodyktycznego wartościowania ludzkich postępów. Z tej komedii widać najlepiej, iż rola surowego sędziego czy gderliwego mentora, który z wysoka feruje potępienia albo pochwalne werdykty, była mu zupełnie obca. Niektórzy niemieccy badacze (Gundolf) dopatrywali się nawet w Alceście autobiograficznych rysów. Trudno rozstrzygać, co w tej postaci jest Wahrheit, co zaś — Dichtung, zresztą nie o to chodzi.

Najważniejsze jest tu niewątpliwie zdemaskowanie z jakimś drapieżnym uśmiechem i spokojem trybu życia mieszczańskiej rodziny, dowodne ukazanie, iż pojęcie wierności, honoru i cnoty jest najoczywistszym mitem. Zwróćcie uwagę, że to ostatnie słowo pojawia się na ustach Zofii i Alcesta tak często, jak Milchkafe na śniadanie.

Pojawia się tak często, bo trzeba nim pozorować nieistniejące uczucie, brakuje moralność. Kiedy wejdzie w grę pieniądź, trzeba się jeszcze bardziej zażywać, by załuszczać pogłębiającą się nieufność, sąsiadującą o miedzę z niewiścią.

Czy więc dla wywołania jeszcze silniejszego kontrastu między obłudną deklamacyjnością a konkretną praktyką codzienną tych ludzi nie należało wprowadzić do dekoracji więcej jasnych, białych barw? J. Szeski skomponował dla tej rokokowo-zalotnej i diablo ironicznej komedii brudnawe ciemne otoczenie, z sakramentalną kanapką, zegarem i sofą, akurat „pod“ Zapolską albo Kisielewską. Mamże przypominać, że tenże Goethe był autorem znakomitej „Farbenlehre“?

Chyba najmniejszą niespodzianką w tym przedstawieniu sprawiła M. Malicka w roli Zofii. Malicka należy do aktorek tej miary, które potrafią ożywić tak zwietrzałą szmire jak „Świt, dzień i noc“. Cóż dopiero mówić o roli pełnej wdzięku i finezji! Tylko na pozor Zofia przypomina sentymentalne dziewczę z okresu Greuze'a. Jej postępowanie, spryt i doświadczenie bardzo odbiegają od sielankowych portretów z Gessnera czy Richardsona. Słusznie pisze L. Budrecki w artykule zamieszczonym w programie, iż ta para kochanków nasuwa porównanie z bohaterami Crebillona młodszego, Choderlos de Laclos czy Retifa, Malicka gra zmysłowo, cały czas z filuternym, szelmowskim uśmiechem, z zalotną emfazą. Wystarczy zobaczyć ją w drugiej scenie z kapeluszem przed lustrem, żeby zapomnieć jej Alcesta i żeby powtórzyć raz jeszcze za olimpijczykiem z

Weimaru: „Das ewig weibliche zieht uns hinan“.

Dobrze, że Alcest (K. Wichniarz) nie był roztrzępłym, cukierkowatym firykiem, ale był troszkę za posępny, za bardzo filozofował. Zresztą, kto wie: może rzeczywiście niemiecki Don Juan z XVIII w. tak się zachowywał.

* * *

Gdy Soeller w trzecim akcie spotyka się z Alcestem, wydaje się, iż w wielkiej scenie nastąpi tylko jakieś bezpośrednie starcie rywalów. Dla Goethego symboliczne rogi małżeńskie Soellera miały dużo rozleglejsze znaczenie, by spotkanie to mogło ograniczyć się do dyskusji na temat problematycznej uczciwości Zofii. Bo też i zdrada małżeńska jest ponadto pretekstem, punktem wyjścia do nowego konfliktu. Soeller zrzucając z ramion symbolicznym ruchem płaszcz Arlekiina, przedziera się na chwilę w groteskowego oskarżyciela i ciska Alcestowi słowa prawdy o postępkach wielmożnych panów. Tutaj właśnie nieoczekiwanie wyłania się druga płaszczyzna sztuki, płaszczyzna walki z feudalnym bezprawiem, na której Goethe już bez drwiny staje obok Lessinga i Schillera.

Patrząc na Soellera (Z. Jabłoński) zastanawiałem się, czy w intencji reżysera (H. Maikowska) miał on być reprezentantem trzeciego stanu, jeśli już nie na przestrzeni całej sztuki, to przynajmniej w chwili oskarżenia. Myślę, że tak. Przecież ten głupawy, opasły mieszcuch, lekkoduch i ladaco, którego za interesowanie światem ogranicza się do balów i tali kart, jeszcze zjadliwie scharakteryzowany kostiumem i farsowym stylem gry, ujawnia wszystkie cechy niemieckiej burżuazji sprzed rewolucji francuskiej, jej niezdolność do jakiegokolwiek akcji. W ówczesnych Niemczech, gdzie według określenia Engelsa „wszystko przegniło, chwiało się, było gotowe runąć“ nawet ów podniesiony głos Soellera musiał dźwięczeć fałszywie i tchórzliwie. Z. Jabłoński tak też interpretował tego bursza.

Daremnie upatrywać w tych postaciach jakiejś piękniejszej cechy charakteru, jakiegoś szlachetnego gestu czy uczynku, który zbliża nas do ludzi.

Jedno zdaje mi się bezspornie wzruszające w tej komedii: natrętna, dosłownie wścibska ciekawość świata, jaką okazuje Gospodarz (K. Biernacki). Ciekawość tak niecierpliwa, iż za jej zaspokojenie płaci bardzo wysoką cenę. Pełni ona rolę raz po raz wracającego motywu lirycznego, a jednocześnie służy do powikłania intrygi. Ilekć ta ciekawość, tak zrozumiała w tym odludziu, rozegrana może nieco za... natrętnie i hałaśliwie, użycza wdzięku i czyni z dość mizernego czelczyzny wcale sympatyczną postać. Dla całej sztuki ten śliczny motyw jest najbardziej goetheański. Mehr Licht!

Dom rodzinny

Przez wierzbowych gałęzi opuszczone ręce
ściany domu pochyle białe z daleka.
Tutaj dni me dzieciństwa ze wszystkich najwięcej
bolesne, przetoczyły się jak ciemna rzeka.

Szare okno patrzyło mętными szybami
w pola, które zmierzch nudą leniwą powłóczył.
Pod oknem kufer przysiadł nabity gwoździem,
w oknie kaktus przywlekił w donicze się smucił.

Zimą na szyby, okna szronem haftowane,
oblask lampy narzucał miedziany kolor.
Pod tą lampą kopnąc dziurawe ubranie
moje latała matka w spóźnie wieczory.

Mroczny niby pieczara, ogromny, półwieczny,
kamienisty piec chlebowy wypychał się z kąta.
Z pieca schnący tatarak pachniał piaskiem rzeźnym,
tu zawsze opar ciepki piolunu się błakał.

Wśród wierzbowych gałęzi jak przez gęste kraty
niski ganek z daleka już przeświecał białe.
Z tego ganku mnie życie powiodło przed laty
w świat, lecz dzieciństwo tutaj na zawsze zostało...

I choć przez ściany domu zimny wiatr z północy
przedzierał się tak łatwo jak przez wronę gniazda —
znów tumanem wzruszenia chcą mi krtań otworzyć
szepty liści, skrzyp furtki, kropla rosy każda.

WŁODZIMIERZ WITKOWSKI

Rozmowa wiosenna

Jeszcze chłodno i wilgoć
ale miłość nie zna przeszkód,
łamiemy więc obawy
jak uschnięte gałązki.

Niebo jest spokojne,
lecz nagle samolot!
I drżysz —
bo przypomina tamte chwile...
Tak samo rozszrebrzało się niebo
w trzydziestym dziewiątym...

A jednak nie łatwo zapomnieć
choć to pasażerski z Gdańska —
i niebo znów spokojne...

KRZYSZTOF A. MAZUR

Czy są nam potrzebni
młodzi kompozytorzy?

GDYBY spytać przeciętnego łódzkiego miłośnika literatury i sztuki, czy Łódź ma młodzież kompozytorską, wyraziłby głębokie przekonanie: z pewnością tak! Ba, czemuż by miało być inaczej? Łódź jest jedynym miastem w Polsce, które posiada cztery wyższe uczelnie artystyczne, reprezentujące najważniejsze gałęzie sztuki (mamy jedyną w kraju Państwową Wyższą Szkołę Filmową). W pismach łódzkich ukazują się prace młodych literatów; słuchacze Państw. Wyższej Szkoły Sztuk Plastycznych urządzają co pewien czas wystawy prac studenckich; absolwenci Państw. Wyższej Szkoły Teatralnej wystawiają sztuki na zakończenie studiów; młodzi filmowcy kręcą etiudy i filmy dyplomowe; wiosną każdego roku Filharmonia urządza koncerty z udziałem młodych łódzkich wirtuozów. W ciągu dziesięciu lat istnienia Państw. Wyższej Szkoły Muzycznej wychowała wielu wybitnych muzyków różnych specjalności.

Łatwo więc chyba o przeświadczenie, że i dziś w murach gmachu przy Al. 1-go Maja 6 kształci się grupa utalentowanych adeptów kompozycji, że nadal co pewien czas społeczeństwo Łodzi słuchać będzie nowych debiutów kompozytorskich. Wyraz temu przeświadczeniu dała choćby redakcja „Kroniki“, proponując mi napisanie artykułu o problemach, osiągnięciach i niedostatkach łódzkiej młodzieży kompozytorskiej, a więc zakładając z góry istnienie tej młodzieży.

Niestety, przeświadczenie to nie pokrywa się z rzeczywistością. Łódź nie ma dziś młodych kompozytorów, w PWSM zlikwidowano sekcję kompozycji, szkoły muzyczne stopnia średniego nie donoszą nic o uczniach usiłujących samodzielnie organizować materiału dźwiękowego, a więc próbujących kompozycji.

W studiach muzycznych odróżnić można dwa zasadnicze rodzaje postawy

twórczej: twórczość w ścisłym tego terminu sensie, to jest kompozycję nowych dzieł muzycznych i twórczość rozumianą jako współtwórczość, jako realizację dźwiękową zapisu istniejących już dzieł celem przekazania ich słuchaczom. Oczywiście, szkoły muzyczne kształcą przede wszystkim odwórców, wirtuozów, mających tworzyć ogniwo pośrednie między dziełem a odbiorcą w postaci wykonywania i interpretacji utworów. Ilościowo kilkakrotnie mniejsze zapotrzebowanie na twórców nowych utworów nie zmieni w niczym faktu, że właśnie coraz to nowi kompozytorzy i ich dzieła stanowią będą o dalszym rozwoju muzyki.

Niższe i średnie szkolnictwo muzyczne nie przewiduje nauki kompozycji. Po prostu, uczeń zamierzający tworzyć nowe utwory musi naprzód dobrze opanować praktykę muzyczną w postaci umiejętności gry na jakimś instrumencie i znajomości podstawowych zagadnień teoretycznych. Dopiero w wyższych szkołach muzycznych istnieją wydziały lub sekcje kompozycji, kształcące adeptów tej trudnej dyscypliny muzyki. Studenci trzeciego lub czwartego roku kompozycji przyjmowani są do Koła Młodych przy Związku Kompozytorów Polskich, dzięki czemu również i związek twórczy rozciąga pieczę nad rozwojem talentu i umiejętności młodych kompozytorów.

Koło Młodych przy Zarządzie Głównym Związku Kompozytorów Polskich liczy czterdziestu osmiu członków, w tym dziewiętnastu studentów kompozycji z Warszawy, szesnastu z Krakowa oraz pięciu z Poznania. Tymczasem autor niniejszego artykułu, mianowany „delegatem Koła Młodych“ na Łódź, do dziś nie bardzo wie, co ma właściwie z tą godnością robić, skoro tkwi w środowisku pozbawionym adeptów kompozycji. Dopiero wiosną b. r. przyjęto do Koła Młodych absolwenta łódzkiej PWSM, kol. Stanisława Mrówkę. Wzrost ilościowy zbyt mały, aby mógł

być pocieszający, a poza tym kol. Mrówka nie został wcześniej przyjęty do Koła Młodych tylko z powodu organizacyjnego niedopatrzenia.

A dawniej było inaczej. Bezpośrednio po wojnie przybyło do Łodzi grono profesorów dawnego Konserwatorium Warszawskiego i dużo młodzieży muzycznej, której wojna przerwała naukę. W pierwszych latach powojennych w łódzkiej PWSM studiowali m. in. tak wybitni kompozytorzy, jak Jan Krenz, Tadeusz Paciorkiewicz czy Kazimierz Serocki. Około 1948 roku zaczęła się skupiać w klasie kompozycji prof. Kazimierza Sikorskiego, rektora PWSM, grupa tak uzdolnionych studentów, jak Zofia Iszkowska, Hanna Skalska, Zbigniew Wisniewski, czy Maciej Zalewski. Na zjazdach i spotkaniach w Warszawie zaczęto już nazywać wyżej wymienionych „łódzką młodzieżą kompozytorską“. A po ukończeniu studiów wszyscy oni opuścili Łódź. Iszkowska wyjechała do Krakowa, troje pozostałych do Warszawy. Dlaczego? Dlatego, że nikomu w Łodzi na tych ludziach nie zależało. Dlatego, że nikt w Łodzi nie uważał, aby młodzi twórcy muzyczni mogli być naszym miastu potrzebni.

Łódź jest zresztą znana jako „generalny eksporter“ młodych muzyków do wszelkich ośrodków kraju, wystarczy wspomnieć choćby kilkudziesięciu wokalistów, którzy zdążyli wyemigrować z naszego miasta przed powstaniem Opery Łódzkiej. Czy Łódź posiada tak wielki nadmiar kwalifikowanych muzyków, aby kilku absolwentów teorii i kompozycji nie mogło znaleźć zajęcia w naszym mieście i również musiało emigrować? A może to zainteresowani nie widzieli w murach Łodzi przyszłości dla siebie?

Nie przypominam sobie, aby poza Teatrem Lalek „Pinokio“, współpracującym przez pewien czas z Maciejem Zalewskim, jakimkolwiek innym teatrem proponował choć raz komuś z młodych n. p. napisanie ilustracji muzycznej do



Lech Kunka

- Portret wiejskiej dziewczyny

Przymierze z nowymi laty



Do obrych kilka lat Stanisław Piętak dochodził do realizmu. Zaprzestał zacierania granic między jawą a snem. Porzucił wyprawę odbywaną ongi w krainie widzeń, mających i przycmionych stanów świadomości. Świat jego liryczny stracił sielankową naiwność. Nie był już rekwizytornią rzeźby „ładnych” — owych „strumieni gwiazd”, „słupów srebra”, „ołtarzy barw”, od których aż roiło się w jego wcześniejszych poematach. Skończyła się ucieczka w widzenie naiwne, jakby infantylne. Formuła świata nie kryła się w dziecięcym spojrzeniu. Poeta zreorganizował swoją wyobraźnię. Była to reorganizacja języka poetyckiego. Nie stanowi ona — rzecz prosta — dostatecznego warunku realizmu, jako że nie określa charakteru poetyckiej wypowiedzi. Jest jednak warunkiem koniecznym, chroniącym poemat przed t. zw. wieloznacznością, a więc zatarciem ideologicznego sensu, przynajmniej zaś przed częściowym jego zwichnięciem.

Reorganizacja języka poetyckiego trwająca w naszej poezji aż po 1950 r. zbliżała lirykę ku mowie potocznej. Zbliżała nie tyle poprzez zaanektowanie nowych obszarów słownictwa, ile dzięki sprawom znaczeniowym. Przywracała ona bowiem językowi liryki reguły sensu mowy potocznej. Słowo odzyskiwało te same znaczenia, w jakich używamy go w życiu codziennym. Rozsypany był poetycki skojarzeń, gdzie

jedynym usprawiedliwieniem metafory czy porównania były skojarzenia piszącego. Tym samym więc poezję opuszczały eksperymenty znaczeniowe. Reorganizacja postulowała jeszcze jedno — związek logiczny poszczególnych fraz, związek, który nie tłumaczyłby się tymi czy innymi dyspozycjami psychicznymi poety. Piętak dokonał przebudowy swego poetyckiego języka. Wydaje mi się, że zapewniała mu ona poważne sukcesy poetyckie.

Reorganizacja wyobraźni stawała przed naszymi poetami trudne zadanie. Domagała się nowego języka liryki, nie raz krańcowo różnego aniżeli ten, którym wielu posługiwało się dotychczas. Stąd też niektórzy przywdziewali kostiumy epok minionych, nakładając na twarze historyczne maski. Nie mogli się dopracować własnej, indywidualnej wyobraźni, własnego języka, który spełniałby wymogi „ujednoznacznienia”. Mieli do wyboru — milczenie lub stylizację. Wybrali to drugie. Sięgnęli po wyobraźnię, jeśli można tak powiedzieć, „ujednoznaczoną”. Ale była to, wyobraźnia cudza. Poczęli ją podrabiać, stylizować. Mówili głosem zapożyczonym od realistów czasu przeszłego, głosem niejako wtórnym. Szukali w tradycji czegoś więcej aniżeli tylko źródeł inspiracji. Piętak nie jest pośród nich. Dorobił się on własnej a zarazem i zreorganizowanej wyobraźni. Ostatni jego tomik „Przymierze z nowymi laty” jest tego wykładnią. Bezsprzecznie, język poetycki Piętaka nie zawsze jest językiem „indywidualnym”. Wyczuwamy w nim echa tych sposobów widzenia czy to pejzażu, czy to wzruszeń, które wytworzyła już wcześniej realistyczna poezja minionego wieku. Niemniej jednak będą to echa tylko — słabe, przytłumione pogłosy.

Liryka Piętaka to liryka konkretna, liryka pejzażu, rzeczy, doznań zmysłowych, wzruszeń nimi wywołanych. Pisarz unika poetyckiej medytacji, traktowości, rozważań poruszających się w świecie abstrakcji, jednym słowem tego, co nazywamy nieraz dyskursywnym trybem poezji. Tym samym nie zapuszcza się w dziedzinę uogólnień. Raczej sugeruje je aniżeli sam wypowiada. Pozostawia czytelnikowi sprawę ostatecznego wniosku. Nie wyrzeka go w tej mierze, nie podsuwa mu pod nos gotowej formuły. Poprasta je na przesłankach. Nie oznacza to ucieczki przed prawdami naszej wiedzy o świecie. Jest natomiast symptomem wyboru pomiędzy poezją konkretną a poezją uogólni-

nień. Sądzę, iż oba te gatunki z równym powodzeniem mieszczą się w realizmie.

Piętak kilkakrotnie próbuje odnaleźć uogólniającą formułę wydarzeń czy to współczesnych, czy to historycznych. (np. „Przemówienie wiejskiego aktywisty”). Usiłowania te nie są najszcześliwszą rzeczą w jego twórczości. Poeta nagle traci umiejętność mówienia. Powtarza sformułowania zaczerpnięte z publicystyki, z rozpraw naukowych. Nie zamyka ich we „własny” obraz, tak jakby odkryta przed nim prawda dawała się wypowiedzieć w jeden tylko sposób.

Piętak przywrócił walor poetycki wielu słowom, które nie tak dawno jeszcze, w latach 1945 — 1948, uważano za „wytarte” czy też za „niegodne liryki”. Była to nie tylko rehabilitacja prozaizmów. Rzecz tkwi tu również we wprowadzeniu komentarza natury moralnej, w dopuszczeniu realistycznej oceny wydarzeń i uczynków. Z pozoru wydać się może, że Piętak sięgając po nią staje się poetą kaznodziejskim, poetą retorycznym. Tymczasem tak w świeżo wydanym zbiorze, jak i w tomikach poprzednich, nie ma on nic wspólnego z oratorstwem. Nie ucieka się do sposobów krasomówcy — do lirycznych katalogów, przeciwstawień, powtórzeń. Odbudowa moralnego komentarza nie była dlań pretekstem do wypadów w piękności. Stanowiła powrót do prawa sądenia nie ukrytego już poza wierszem, lecz jakby ujawnionego, bezpośrednio ingerującego w poetyckie frazy.

Zdarzało się nieraz, że nasi krytycy nazywali wiersze realistycznymi tylko wtedy, gdy podejmowały one określony temat, gdy oburzały się tłumieniem strajków lub witaly radością dzieł dzisiejszy. Poza obręb naszej poezji usuwano więc lirykę jak najbardziej osobistych doświadczeń. Było to bezwzględnie zawężanie granic realizmu. Znakończyła większość „Przymierza z nowymi laty” to właśnie wiersze „prywatne”. A mimo to są one wierszami realistycznymi. Decyduje o tym gatunek wzruszeń komunikowanych lub wywołanych utworem lirycznym.

Piętak jest poetą czułym, poetą kłiwym. Nie darmo w jego poematach od jednego zdrobnienia przechodzimy ku drugiemu. Niemal cały jego świat zawarty jest w spieszczu. Poeta angażuje się w czułość. Jest to jednak czułość społecznie usankcjonowana. Jest to ten typ wzruszeń, który rodzą się w określonej sytuacji zyskującej sobie aprobatę naszej wiedzy o świecie.

Wielu polskich poetów zagubiło — jak mi się wydaje — umiejętność opisu zewnętrznego świata, opisu, który nie byłby pretekstem do lirycznych zwierzeń ani też opisem pozornym, w

rzeczy samej opowiadającym o przeżyciach piszącego. Reorganizacja wyobraźni nie dawała przecież gwarancji wskrzeszenia takiej „opisowości”. Wiodła jednych w stronę traktatu, w stronę poezji dyskursywnej, operującej uogólnieniami, innych kierowała ku lirycznej spowiedzi, jeszcze innych — ku retoryce. Piętak był jednym z tych nielicznych polskich poetów, którzy spróbowali opisać świat. Próba ta w znacznym stopniu powiodła się.

W „Jabłoni” czy „Moim małym kacie”, pejzażowy szczegół nie jest akompaniamentem dla lirycznych przeżyć. Odżywa opisowość, do której przez tyle lat nasza liryka nie przywiązywała większej wagi. Wraz z nią powraca „anegdota” — powraca szkic sytuacji (np. „Jabłoni”, „Przemówienie wiejskiego aktywisty”), a nawet szkic charakteru jakiegoś lirycznego „ja”, z którym pisarz się nie utożsamia („Na polu bitwy”). Piętak buduje coś w rodzaju fabuły. Ba, sięga nawet w dziedzinę psychologicznego portretu („Na polu bitwy”). Portret nie udaje mu się. Ale sam eksperyment poetycki, którego od kilkunastu bodaj lat nikt u nas nie uprawiał, jest zjawiskiem niezmiernie interesującym. Można i to można nie bez racji — dopatrywać się w tym śladów epiki, którą Piętak przecież uprawiał (choćby „Przedownica Anna”). I uprawia nadal — gotów ktoś powiedzieć. Ale tu sprawa zaczyna się wikać. W „Przymierzu z nowymi laty” nie ma bowiem poematów epickich. Są natomiast poematy narracyjne.

Epika wymaga konkretnych sytuacji, konkretnych wydarzeń. Narracyjność pozwala opowiadać o losach ludzkich nie sugerując równocześnie „zdarzyć się tak a tak”. Wprowadza na to miejsce „zdarzało się”. Tryb dokonany zastępuje trybem częstoliwym.

W tej chwili padną zapewne pytania, czy opisowość znaczy realizm, czy narracyjność to irrealizm. Odpowiedź zaczyna się od słów „niekiedy”. Realizm bowiem mieści w sobie wiele rodzajów poetyckich. Określa stosunek do świata, a nie formalny kształt dzieła. Piętak jest realistą. I w lirykach i w poematach narracyjnych. Pozostawia to mu jednak wielką swobodę wyboru sposobów pisarskich. Można być realistycznym poetą tak opisu, jak i komentarza, tak konkretnego, jak i szerokiego uogólnienia. Toteż sądzę, że z chwilą, gdy pisarz stał się realistą, gdy odszedł od metod artystycznych obcych nam i wrogich, upodobanie krytyka dla tego lub innego gatunku poezji jest już tylko sprawą gustu. Osobiście jestem za opisem, za sytuacją, za takim lirycznym „ja”, poza którym nie zawsze kryje się sam pisarz.

LECH BUDRECKI

*) Stanisław Piętak, „Przymierze z nowymi laty”, Wyd. Literackie, Kraków, 1955 r.

SZTUCZNA POSUCHA

STATNIO dało się zauważyć, że wiele niepokojące zjawisko. Oto ani pisma literackie, ani specjalne broszury zestawiające czy zapowiadające ukazanie się nowości wydawniczych prawie że nie wymieniają radzieckiej literatury młodzieżowej. Jeżeli, to najwyżej w „Iskrach”. Np. w biuletynie informacyjnym „Iskier” poświęconym w całości planowi wydawniczemu na rok 1955 (50 nowości i 22 „najciekawsze wznowienia”) wymieniony jest Erenburg („Jednym tchem” — pasjonująca opowieść o życiu ludzi północnego portu radzieckiego), Gorbunow — „Lody ruszyły”, Lew Kassil — „Bramkarz republiki”, Katajew — „Czasie napróżd” („Opowieść o trudnym, surowym, dramatycznym życiu pierwszych budowniczych Magnitogorska”) i „Wiersze do młodzieży” Majakowskiego. Ze wznowień „Samotny biały żagiel” Katajewa i „Męstwo” Kietlińskiej. Plan wydawniczy jednej instytucji nie obejmuje wszystkich, tym bardziej, że nie może pomijać klasyków zachodnich. Ale cóż się dzieje gdzie indziej? Skąd taka nagła posucha po ubiegłoletnich deszczach złych i dobrych tłumaczeń? Jakże niepokojąco mizernie przedstawiają się te plany, skoro, jak wiemy, współczesnych polskich książek przeznaczonych dla czytelników — „od lat 6 do 100” — nie ma za dużo?

Bieliński pisał, że „do poetyckiego odzwierciedlenia rzeczywistości nie wystarczy tylko wrodzony talent: poeta musi mieć również pod ręką poetycką rzeczywistość”. Rewolucja stworzyła tę rzeczywistość. I oto młodzież otrzymała w osobie Pawła Korczagina model patriotyzmu, pasji rewolucyjnej; oto model heroicznej pracy nad wewnętrzną przebudową człowieka w „Poemacie pedagogicznym”; oto przykłady nowego stosunku do pracy w „Statku Derbeni”; oto bohater nowych czasów, człowiek z „mas” — jak go nazywa Gorki.

Na tych wzorach wychowywała się nasza powojenna młodzież. I dalej się wychowuje. Nie mamy dotąd polskiego „Poematu pedagogicznego”. Nakłady tłumaczeń są rozchwytywane. „Dzieciństwo” Gorkiego, które ukazało się w sześciu wydaniach osiągnęło ogólny nakład 175.000 egzemplarzy. Zalegają natomiast półki księgarni słabe rzeczy, o których rozpamiętaniu mówił ostatnio Szolochow, a które, niestety, hurtem tłumaczono. Potraktowano to jako ostrzeżenie i nagłe klaps. Nic nowego.

Ejże! Czy nie pojawiły się w Związku Radzieckim powieści dla młodzieży, ciekawe, które należałyby natychmiast przetłumaczyć? Czyżby wydawcy uważali, że problem wychowania naszej młodzieży już się zakończył?

Bo czymże innym tłumaczyć sobie dzisiejszą posuchę?

T. P.

CHCIAŁBYM — chociaż nie jest to może zbyt skromne wstąpić już w pierwszym zdaniu artykułu na jak wysokiego konia — prześledzić na przykładzie kilku debiutów prozatorskich, jaki krag tematów podejmuje i jaką wiedzę o życiu reprezentują młodzi pisarze wchodzący do literatury.

Nie bez kozery podkreślałem — „krag tematów” i „wiedzę o życiu”. Nie bez kozery — jeżeli bowiem już przy okazji omawianego swego czasu na łamach „Łodzi literackiej” „Almanachu literackiego” twierdziłem dość dobrodusnie, że „... nieporadność formalna to rzecz zwykła dla debiutantów”, a dalej pocieszałem siebie i bliźnich, iż „kompozycji, techniki, charakterystyzowania postaci, prowadzenia dialogu czy odautorskiego opisu można się przy dobrych chęciach nauczyć” — to i teraz chcę się przy tym twierdzeniu upierać, mimo że opowiadanie w almanachu od książki dzieli przecież dystans dość pokątny.

Po tych wstępnych uwagach spróbuję może wyłożyć pokrótce dlaczego z powodzi prozatorskich debiutów (Zyńskiego, Proroka, Odojewskiego, Stadnickiego, Szczepińskiego, Szczesnowicza i kilku innych) wybrałem akurat te a nie inne pozycje.

No cóż — przyznaję, że była to sprawa niełatwa. Smakowałem, obwąchiwałem, ważyłem w rękę, zasięgałem języka i czytałem, ach jak wiele czytałem, zanim zdecydowałem się na ten właśnie wybór. Dwie pozycje były niewątpliwie. Oczywiście Włodzimierz Odojewski — jeden z nielicznych debiutantów, którego proza, podobnie zresztą jak proza Marka Hłasko, jeszcze przed ukazaniem się na półkach księgarskich budziła tzw. „piękne nadzieje”. I oczywiście Jerzy Stadnicki — raz dlatego, że po „Wyroku” stał się bez mała „enfant terrible” naszej literatury, no i dwa — dlatego, że „pisarz katolicki” (warto by może po raz setny i pierwszy podjąć spór o beztreściwość tego określenia) stanowi, jak wiadomo, zawsze smakowitą kaskadę dla krytyka. Wreszcie — Leszek Prorok i tu motywacja będzie prosta: zgłuszyła mnie lektura jego książki ogromnie i tak czy siak muszę się gdzieś wykrzyknąć. Tyle tego.

A teraz najwyższy czas byłoby przystąpić do rzeczy. Gwoli prawdzie muszę się przyznać, że obok lektury książek pozwoliłem sobie na rzadką rozpustę i poczytałem trochę traktujących o nich, a porozumujących tu i ówdzie po naszych czasopiśmie recenzji i recenzji. Bardzo wiele bystrych uwag o drugiej książce Odojewskiego („Upadek Tobiasza”) znalazłem u Koguta — za-

JERZY PANASEWICZ

Trzy debiuty

stanowiło mnie trochę, czy aby dla wykazania jej wtórnego charakteru konieczne jest kłaść się nie tylko na Turgeniewa z „Zapiskami myślowego”, nie tylko na Paustowskiego i Prizwina, ale i na nowelistów ormiańskich z końca XIX wieku. Potem doszedłem do wniosku, że — jeżeli chce się popisać erudycją — to konieczne. Bóg zresztą z Kogutem — czyta ormiańskich pisarzy, to mu wolno. Zajmiemy się lepiej Odojewskim.

Jeżeli wierzyć Irzykowskiemu, który powiada, że można by podzielić pisarzy na przychodzących od życia do literatury i od literatury do życia — a w tym wypadku wierzyć mu, sądzę, można — to Odojewski przyszedł od prawdziwego życia do prawdziwej literatury. „Opowieści leskie” — to książka bogata w obserwacje, pełna politycznej pasji, a zarazem — jakże to radosne — niemal wolna od żałosnej waty dydaktycznych pogwarek. Brakuje mi co prawda, tak cennego dla krytyka, zaplecza literackiej plotki i nie wiem w jakim stopniu osobiste życie Odojewskiego było z polsko-ukraińskim powstaniem chłopów leskich splecione i w jakim stopniu wykorzystano na nawarstwienie dalekich, czy chociażby wtórnie zaślasywanych, wspomnień — mimo wszystko jednak zaryzykuję i powiem, że są „Opowieści leskie” swoistym wariantem „pierwszej książki” w całym, dobrym tego słowa znaczeniu. I jeżeli określenie to nie jest nawet prawdziwe, stanowi przecież miarę wysokiej rangi, jaką przypisuje utworowi — przez „pierwszą książkę” rozumieniem bowiem utworu, w którym nawet uruchomiony aparat fikcji literackiej podporządkowany jest niepowtarzalnemu klimatowi autentycznemu, w którym nawet szubienica i jaskrawe „wymyślona” fabuła czerpie świeżość z przeżyć autora albo bliskich autorowi ludzi. Oczywiście, sukces warunkuje jeszcze jaka taka technika pisarska i dodatkowa suma wiedzy ogólnej — ale pisząc o literaturze przyjmujemy się chyba te momenty w założeniu.

Złą stroną tak pojętej „pierwszej książki” jest fakt, że jej autor często później niemieje. Wyczerpawszy zapas nagromadzonych w „przed-pisarskim” żywocie doświadczeń, zaczyna — wie-dziony sukcesem — łapać co w rękę wpadnie i robić z tego literaturę. Znika wtedy zazwyczaj świeżość i prawdziwość a zostaje — podobnie jak to było z „Upadkiem Tobiasza” — pseudo-filozoficzna retoryka i złudne uroki „pięknej sztuki pisania”. Zaczęłem Odojewskiego za „Opowie-

ści leskie” chwalić i myśleć słusznie chwalić — inna już sprawa, że nie ja pierwszy, a chwalono go tak długo aż przechwalono. Trzeba tedy kontynuować podniosły obrządek kanonizacji — jakikolwiek zgnębny skutek miały by wyrwać i już wyrwały te celebracje na autorze, trudno przecież uprawiać krytyczną profilaktykę i szukać na zapas dziury w całym. Piszę to z żółcią, bo mnie kłęska Odojewskiego w „Upadku Tobiasza” równie martwi co gniewa.

Bo jakie to tak — w „Opowieściach leskich” jedyny, nie wolny zresztą od brutalizmów język jak ulał przystaje do podjętego tematu, a w „Upadku Tobiasza” język, mimo silenia się na filozoficzną i ludową zarazem wartość, staje się jakiś rozpiąkany i niekiedy mdły. W „Opowieściach” las, mrok, jeśli bitych chłopów, beznadziejność — Odojewski bardzo ostrożnie operuje „zapowiedziami lepszego jutra” — wszystko to składa się na całość niekiedy aż wstrząsającą. W „Upadku” naczysta refleksja, wymęczona zadumą, niekiedy banał. Tu parę wbiłających się w pamięć postaci ludzkich (Marta z „Brzegu”, Kłós z „Wilków” i parę innych) — a tam tacy sobie „ludzie widma” — kawałek człowieka a kawałek błąd.

Nie znaczy to oczywiście, że „Opowieści leskie” są ze wszystkim dobre a „Upadek Tobiasza” ze wszystkim zły. Gdyby ta druga książka była debiutem chętnie poszukalibyśmy i znalazł w niej wiele rzeczy wcale ładnych. Ale tak — w obliczu nagłego załamania pisarstwa Odojewskiego — chcę i muszę przejskrawiać. Uciekając od polityki ucieki bowiem Odojewski bez mała „do nikąd”, bez mała w pustkę.

A teraz następuje zwrot o 180 stopni i zaczynamy mówić o Proroku. Ten nie uciekał od polityki, ani od tzw. „zaangażowania się we współczesność”. Skądże, siedzi we współczesności aż po uszy.

Postulujecie apelu jego prozy. Ruch amatorski jest? Jest! („Wodewil dyrektora”). Wstrastająca w życie Polskę Ludowej autochtonka jest? Jest! („Willa Waldrieden”). Pozytywny, młody inteligent jest? Jest! („Gorliwość”). Wracający do czynnego życia stary, zlamany wojną człowiek jest? Jest! („Krewniacy”). Bohaterski żołnierz jest? Jest! („Bunkry”). Przelamujący się „zły chłopiec” i ociemniały, są? Są! („Biała laska”). Przedownik pracy pokazany w domowych pantoflach jest? Jest! („Kombineza”). A może jakiś problem nierozwiązany się znajduje? Znaj-

dzie! („Więcej światła”) — smutne konsekwencje braku ustawy o obowiązkowym nauczaniu dzieci kalekich.

Tyle tylko. Wymieniłem wszystkie opowiadania.

Jest tedy współczesność rozumiana nie tylko jako czas teraźniejszy, do czego w znacznej mierze sprowadza się współczesność „Upadku Tobiasza”, ale i jako współczesność spraw i problemów. Tylko jaka? Marginesowa, wyprana z konfliktów, lukrowana, naiwna, udydaktyczniona. Niekiedy — trzeba przyznać — błysnie w nich własny, osobisty stosunek autora do ludzi, zarysujecie się, migają cień człowieka.

Jestem tedy rozczarowany tym debiutem. Zapowiadałem, że się wykrzyczę, ale nagle straciłem ochotę. Przecież to smutne wchodzić do literatury z tak ubogą książką, jaką są „Krewniacy”.

I oto skazujemy w „Kurz na miłość”) Jerzego Stadnickiego. I oto doznajemy, może na zasadzie kontrastu, nagłego olśnienia. Przecież to jest literatura — wolamy z wypiekami na twarzy.

Te wypieki, jak również żartobliwa motywacja wyboru Stadnickiego jako tzw. „pisarza katolickiego”, idą w całości na konto zachoł krytyka krakowskiego Andrzeja Kijowskiego, który zaczynając od oświadczenia, że książka Stadnickiego go zrytowała, a skończywszy pokrzykiwaniem, że Stadnicki „nie ma własnej ideologii” i nie a nie nie obchodzi go strona polityczna ukazanych zjawisk — uznał wszakże za stosowne poświęcić cały rzeń swojej recenzji udawadnianiu, że Stadnicki to wcale tegi i sprostregawczy pisarz.

Tego to ja już — po prawdzie — nie bardzo mogę zrozumieć. Jedno z dwojga: albo Stadnicki widzi rzeczywistość głęboko i celnie a wówczas polityka wyjdzie mu chęć nie chęć, albo widzi ją płytko i fałszywie. Drogę trzeciej nie ma.

Na mój osąd sprawa wygląda tak. W pokaznym objętościowo tomie Stadnickiego są opowiadania bardzo różne i z bardzo różnych pisane pozycji, lepsze i gorsze, banalne i odkrywcze. Są więc dobrze napisane, załadnione celnie uchwycionymi sylwetkami ludzkiemi i będące ciekawym „przyczynkiem” do zbadania mechanizmu obozów śmierci, dwa „opowiadania obozowe” („Zbieżność” i „Było wczoraj”).

Są opowiadania — jakby tu powiedzieć — miłosne („Kurz na miłość”) i „Kunst w miłości”). Przy takiej wiedzy psychologicznej i ości widzenia

gestów, odruchów, odcieni i półtonów opowiadania te są po prostu złe, zaigane, spiętrające (to o „Kunszt w miłości”) banalny trójkąt małżeński, w którym walkę o kobietę toczy łajdak z cyganerki i strasznie, mieszczańsko solidny adwokat, do miary apokalipty. Wkomponowana w panoramę Bochni i Krakowa rewią galwanizowanych trupów budzi najostrejszy protest.

I wreszcie są opowiadania mówiące wprost o problemach współczesności i współczesnej prowincji („Badania dodatkowe”, „Prawo do skargi” i „Polskie drogi”) — te ostatnie o niebo więcej mówiące o ludziach ruchu amatorskiego niż „Wodewil dyrektora” (Proroka). To one tak bardzo zrytowały Kijowskiego. Ano, zobaczmy, „Badania dodatkowe”. Młody lekarz z dyalemtem — „judymostwo” czy dochodził i dochodzi. Czy jest trzecie, rozsądne wyjście? Na to autor nie odpowiada. Kijowski nazywa takie postawienie sprawy „polityczną bez troską”, ale w innym miejscu chwali za przejmujący obraz uspołecznionego lecznictwa. A ja na odwrót twierdzę, że obraz ten jest fałszywy. Nie wystarczy bowiem pokazać prawdziwych szczegółów, aby powiedzieć prawdę.

„Prawo do skargi”. Kijowski powiada, że chwali ono Polskę Ludową z drobniomieszczańskiego punktu widzenia tj. za książkę zażalen. I że nie ma roli partii, ani sekretarza P. O. P-u chociażby. A ja znów na odwrót twierdzę, że dziennikarz Turek (taki fikcyjny Kuśnierek) to właśnie partia. (Stadnicki za nic zresztą słowa „partia” wykrztusić nie może — to tak na marginesie). Natomiast nie jest dla mnie rzecz szczególnie zdrożna ukazanie, jak właśnie przez „książkę zażalen”, wniesioną zresztą przez wspomnianego dziennikarza Turka, dochodzi, dojdzie może — bo w opowiadaniu nie ma kropki nad i — stary laborant do swoich sprawliwych praw.

Ot i wszystko. Sądzę, że Stadnicki łamie się z rzeczywistością, ze swoim warsztatem, z tematami niesionymi przez życie i ma już osiągnięcia, ma parę fragmentów realistycznej, dobrej prozy. Dlatego byłbym się powtórzę za Kijowskim, że książka jego jest „grzeźnie przyjazna”. To za mało.

I tak oto wyczerpał się do cna cierpliwość czytelnika zbliżam się do ostatniej kropki. Sądzę, że czas ją postawić, zostawiając uczczone wnioski * mądrzejszym, a może po prostu czasowi.

JERZY PANASEWICZ

*) Włodzimierz Odojewski, „Opowieści leskie” — Czytelnik 1954, „Upadek Tobiasza” — Iskry 1955.

**) Jerzy Stadnicki „Kurz na miłość” — Pax 1955.

*** Leszek Prorok „Krewniacy” — PIW 1955.

Opinie i fakty

MELPOMENA W CZASTARACH



Anna Bartyś jako Beatrice w „Dwojgu gadułów”

Widziałem w podwieślanie wsi Czastary przedstawienie Estrady Artystycznej, złożone z „Farsy o Mistrzu Patelinie” i „Dwojga gadułów” Cervantesa.

Widowisko osobliwe, nasuwające równie osobliwe i dość mieszane refleksje. Anonimowa piętnastowieczna farsa francuska o ukaranej chciwości kupieckiej i przechytrzoną kręciactwem adwokackim, późniejsza o wiek humorystyczna intermedia o poskromionej gadatliwości kobiecej, wszystko to spięte prologiem i epilogiem Włodzimierza Słobodnika w duchu „wędrownych komediantów”, odegrane przez młodych i pełnych dobrych chęci aktorów, wystawione na miniaturowej scenie w najprostszych, półfarsowych dekoracjach... Zaiste, byłoby się nad czym zastanowić w dłuższym artykule. Powiedzmy na razie, że jeśli intencją autorów spektaklu było dostarczenie widzowi wiejskiemu kulturalnej, zasobnej w treści dydaktyczne zabawy, to cel został, zgrubszą rzecz biorąc, w pewnej mierze osiągnięty. Chociaż w praktyce, to znaczy w robocie aktorskiej, owe treści dydaktyczne bardzo często kurczą się żałośnie, przytłoczone pierwiastkiem „zabawy”, która, wedle wykonawców, ma polegać na szybkim, chwila karkołomnym tempie dialogów i działań, na burleskowo krotocwilnej manierze gry, na pogrubianiu efektów. Wydało mi się, że właśnie wrażliwość widowni wiejskiej, jej gotowość do śmiechu, jej predyspozycja do chwytności komizmu, powinny zezwolić na przytłumienie motywów farsowych i mocniejsze podkreślenie realistycznej satyry społecznej, tkwiącej w „Mistrzu Patelinie”. Wmieszany w publiczność chłopską, odniosłem wrażenie, że satyra nie dociera do odbiorcy, i to nie z jego winy. Zwalazca scena sądu, scena centralna, będąca daleką zapowiedzią

analogicznej sceny w „Weselu Figara”, wypada niemiernie: słabo dochodzi tu do głosu kpina z głupiej zachłanności kupca bławatego, z daremnych mactw adwokackich i nadętej tępoty sędziego. A przecież ta kpina właśnie, wzmocniona końcówką wygraną biednego pastucha, triumfującego i nad kupcem, i nad adwokatem, zawiera w sobie ludowy wymiar sprawiedliwości. Otóż kpina ta ginie, jeśli nie w efekcie finalnym, dostatecznie wyraźnym, to w przebiegu rozpraw sądowej.

Najbardziej sporny w „Mistrzu Patelinie” wydaje mi się język przekładu Adama Polewki, język będący mieszaniną rybakowskich staropolszczyzny i gwary podkrakowskich chłopów. Anachronizm podwójny: raz dlatego, że język oryginału jest potoczny i naturalny mową Paryża XV wieku, to znaczy swojej epoki, i wszelka archaizacja staje się nonsensem; zrozumiało to francuskie zespoły teatralne, które w dzisiejszej Francji grają „Mistrza Patelinie” w najbardziej współczesnej wersji językowej; dwa — dlatego, że owa domieszka quasi-chłopskiej gwary w dzisiejszej wsi polskiej wywołuje jedynie zdumienie i uśmiech wyższości. W jedenasty rok Polski Ludowej chłop nasz (sprawdziłem to w trakcie rozmów z mieszkańcami Czastarów) mówi już ogólnonarodowym językiem literackim, nie różniącym się niczym od języka oświeconej ludności miejskiej. Oto znamie rewolucji kulturalnej, które należy mieć na oku, kiedy się dzisiaj pisze i wystawia sztuki wiejskie lub sztuki dla wsi. Z powyższego nie wynika bynajmniej, że widownia czastarska nie zrozumiała „Mistrza Patelinie”: jeśli nawet ta czy owa replika, zbyt gwarowo lub archaicznie wyszukana, wymykała się jej uwadze, to przecież całość została zrozumiana bardzo dobrze. Tylko że w przerwie słyszałem pytania: po co to? — pod adresem języka Polewki.

Bez wątpienia, język ten oddala w czasie jedną i krwistą farsę francuską, gdy natomiast poprawna literacka polszczyzna przekłada „Dwojga gadułów” zbliża skecz Cervantesa do widowni. Śmiech, jaki tu raz po raz wybuchał, był bardziej spontaniczny i bardziej młotowy: może dlatego, że gadatliwość żona jest plagą ponadczasową i pozahistoryczną.

Na ogół widowisko wiejskie Estrady Artystycznej czyni zadość minimalnym wymagom kultury teatralnej. Ale Estrada ma jeszcze w tym zakresie — kupę roboty przed sobą.

S. B.

Słuszną inicjatywę

Wypożyczenie Łodzi w instytucje kulturalne charakteryzuje się poważnym mankamentem: to siedemsettyśięć miasto, mające swą specyficzną problematykę historyczną i współczesną i będące jednocześnie punktem centralnym bogatego i różnorodnego regionu kultury ludowej — nie posiada instytucji wydawniczej, która mogłaby sprawnie i planowo uzupełnić nasz dorobek wydawniczy książkami literatów i naukowców zajmujących się bogatą problematyką Łodzi i jej regionu. Nie ma — jak dotąd — beletrystycznych lub naukowych monografií łódzkich fabryk, których historia zawiera w sobie typowe zjawiska rozwoju polskiego kapitalizmu i polskiej klasy robotniczej; nie ma literackich lub naukowych opracowań poszczególnych dzielnic kulturalnych regionu łódzkiego. W tej sytuacji obserwuje się, niestety, zjawisko coraz powszechniejszego ignoracji cennych tradycji zakładu pracy w zalogach fabrycznych (bywa, że imię działacza, które nosi fabryka, jest pustym dźwiękiem dla wielu jej robotników); obserwuje się także coraz słabszą więź z tradycjami ludowej kultury w miastach i wsiach regionu. Nie trzeba dodawać, że taki stan rzeczy nie sprzyja rozwojowi i pogłębianiu przywiązania do zakładu pracy lub „małej ojczyzny” — miasteczka czy regionu. Dzieje się wręcz przeciwnie — w świadomości młodych przede wszystkim robotników i chłopów przeszłość ich środowisk nie istnieje, nie mają więc poczucia, że są dziedzicami i kontynuatorami wielowiekowej walki o szczęście człowieka pracy. Nie łatwo będzie stworzyć z takich ludzi świadomych budowniczych socjalizmu i socjalistycznej kultury.

Najlepiej nawet zaplanowane i realizowane pogadanki, odczyty, czy całe cykle odczytów tej sytuacji nie będą w stanie zapobiec. Jedynie książka czy broszura może tu odegrać poważniejszą rolę. Kto jednak zajmie się zaplanowaniem i wydaniem tych książek czy broszur?

Związek Literatów Polskich — Oddział w Łodzi w porozumieniu z łódzkimi placówkami naukowymi i badawczymi podjął starania zmierzające do założenia w Łodzi instytucji wydawniczej. Ona to właśnie winna — między innymi — zająć się wyżej wspomnianymi wydawnictwami. Miała by zresztą o wiele więcej do roboty, zaspokajając potrzeby czytelników i organizując możliwości twórcze pisarzy i naukowców. Słowem — inicjatywa Oddziału ZLP zasługuje we wstecz młar na poparcie; o jej losach „Kronika” postara się informować swoich czytelników.

Co z antologią?

Nakładem Polskiego Instytutu Muzycznego ukazała się obszerna „Antologia krytyki muzycznej XIX i XX wieku”, pod redakcją i z przypisami Stefana Jarocińskiego. Obejmuje ona całość lub fragmenty recenzji muzycznych najwybitniejszych polskich krytyków na przestrzeni blisko dwu wieków.

Na marginesie tej ciekawej lektury, która oprócz fachowców zainteresować może każdego laika, nasuwa się pytanie: a co się dzieje z zapowiadaną od lat kilku antologią krytyki teatralnej?

Notatnik kulturalny

Antologia muzyczna ukazała się cicho, bez żadnych zapowiedzi, nie została nawet nigdzie omówiona, o zamierzonej zaś „antologii teatralnej” czytaliśmy już parokrotnie w „Teatrze”, w „Pamiętniku Teatralnym”, w „Materiałach dyskusyjnych”, nawet w pismach codziennych, lecz książki jak nie było, tak nie ma.

Co na to Państwowy Instytut Sztuki?

Repertuar teatrów łódzkich

Repertuar teatrów łódzkich na miesiąc najbliższy przedstawia się różnorodnie, miejscami bardzo obiecująco, w sumie zaś — dość eklektycznie. Nie miejsce tu ani czasu jeszcze na analizę tych zamierzeń, tymbardziej, że obietnice nie gwarantują dotrzymania obietnic. Poprzestawmy więc na wyczerpieniu. A zatem:

TEATR NOWY zapowiada dwie sztuki: „Noc listopadową” Wyspiańskiego i nową sztukę Krzysztofa Gruszczyńskiego „Klucz od przepaści”. Skromność liczbową tej zapowiedzi tłumaczy się tym, że Teatr Nowy wyjeżdża we wrześniu do Związku Radzieckiego, co wymaga wiele energii i czasu i co, oczywiście, wpływa na zasięg planowania teatru.

TEATR IM. ST. JARACZA przyrzeka najwięcej. W kolejności podanej przez dyrekcję teatru są to: „Człowiek z teką” A. Fajki, „Ryszard III” Szekspira, „Zagubieni w świecie” Joanny Górczyckiej, „Kordian” Słowackiego i „Gromiwoja” Arystofanesa.

TEATR POWSZECHNY zapowiada sztuki następujące: „Nauczyciel tańca” Lope de Vega, „Kwadratura koła” W. Kotajewa, „Wesele” Wyspiańskiego i „Celestyna” Rojas.

TEATR MUZYCZNY przygotowuje dwie operetki. Są to: „Wiktoria i jej huzar” Abrahama i „Czar walca” Oskara Straussa.

Konkludując stwierdzamy, że Rok Romantyzmu zamierzają teatry łódzkie, po „Mazepie” i „Zbójcach”, uczcić „Kordianem” oraz dwoma dziełami Wyspiańskiego, które, należąc do wieloletniego repertuaru, personifikują niemniej młodopolski neoromantyzm. Dramaturgię radziecką reprezentują w powyższym wyczerpieniu dwie sztuki napisane w latach trzydziestych. Wreszcie porcja intrygująca jest „Celestyna”. Jak wiadomo, Łódź oglądała polską premierę sztuki Fernanda de

Rojasa, której realizacja w r. 1947 była jednym z najświetniejszych dokonań Leona Schillera. Czy Teatr Powszechny zamierza znówiś inscenizację schillerowską, czy też chce wystąpić z własną koncepcją „tragikomedii Kalista i Melibei”? Czas to pokaże.

Pierwsze kroki

Spółeczna Ognisko Artystyczne urządziło w salonie CBWA wystawę prac swoich członków, artystów-amatorów. Akwarele i rysunki dają obraz pierwszych kroków w trudnym „terminie” malarstwa. Kroki te są już to wielce jeszcze chwiejne, już to bardziej pewne siebie. Przeważają studia portretowe i studyjne, gdzie zrzadka da się załatawać śmieśkie pociągnięcie pędzlem, głębsze wnikięcie w charakter modelu; o wiele mniej udane są próby opanowania martwej natury. Brak prac olejnych, ogólny szkolny charakter wystawy sprawiają, że nie sposób dopatrzyć się tu jakiegokolwiek tendencji ideowo-artystycznej. Uderza brak zainteresowania dla tematyki współczesnej. Poza tym przydałoby się bardziej surowa selekcja eksponatów.

Wystawa rysunków Kulisiwicza w Niemczech

W słynącym jako kolonia artystów miasteczku Worswede (położonym na północny wschód od Bremy), została urządzona wystawa grafiki Tadeusza Kulisiwicza. Będzie ona pokazana również w wielu innych miejscowościach Niemiec Zachodnich. Rysunki Kulisiwicza wzbudziły ogromne zainteresowanie w świecie artystycznym, krytycy zachodniomiemieccy wyrażają się o nich z najwyższym uznaniem.

Nowa książka o powstaniu warszawskim

W wydawnictwie berlińskim „Neues Leben” ukazała się pokaźnej objętości książka Wolfganga Schreyera pt. „Unternehmen Thunderstrom”, poświęcona powstaniu warszawskiemu. Ta powieść-reportaż spotkała się z dużą przychylnością opinii krytycznej. Alfred Koenner pisze np. w tygodniku „Sonntag”: „To jest książka, która — jak niewiele innych — znajduje w całym Niemczech pełny i uważny czytelnik, książka, o której bez oceny można powiedzieć, że jest niezwykle aktualna dla wszystkich Niemców”.

Krytyka chwali dokumentację i dobrą formę literacką utworu. „Pisarz jest historykiem, historyk — pisarzem” stwierdza w dalszym ciągu swojej recenzji Koenner, kończy zaś swoje uwagi następującą konkluzją: „Oto książka o wysokich wartościach politycznych i beletrystycznych. Jest rzeczą wiadomą, że zwłaszcza w Niemczech Zachodnich potrzebują ludzie lektury, która by im powiedziała pełną prawdę o wydarzeniach drugiej wojny światowej. Praca Schreyera jest w stanie zerwać przedziwny kłamstw o powstaniu warszawskim, namotanym przez kapitalistyczną propagandę”.

Sądymy, iż należałoby się zainteresować co rychlej o przełożenie publikacji Schreyera na język polski. Jak wnosimy z opinii o niej w pełni na to zasługuje.

EUGENIUSZ PAUKSZTA

Z wędrowki po Targach



POPRZEDNIE Targi odbywały się w czasie, gdyśmy kończyli odbudowę zniszczonego przez faszystowskiego najeźdźcę kraju. Znikały ostatnie ślady kikutami sterczących ku górze zniszczonych mostów, mocną zielenią obrastały czarne resztki pogorzeli, dymili kominy wekrzeszonych z rumowisk fabryk. Dopiero wkraczaliśmy w okres odbudowy, dopierośmy zachłystywali się ambicją Planu Sześcioletniego. Dzisiaj, po pięciu żmudnych, znaczących się wysiłkach, ale i dumą zwycięstwa, latach, pokazujemy, na co stać naród, który wybrał sprawiedliwość i pokój. I ten aspekt obecnych Targów wybija się chyba na pierwsze miejsce.

ZNAMIE SIŁY

Plastyczny zaś jego obraz — to hala wirujących, rozkołysanych w ruchu maszyn. Powietrze jest gorące, duszniej tu aniżeli na dworze, unosi się lepki zapach oliwy, migocą pasy transmisyjne, zębata koła wirująca zatracają swój kształt w srebrych spiralach, wiorami osypuje się stal. Frezarki, obrabiarki, młoty i prasy, ciężkie tokarki. Tempo, ruch, praca, siła...

W oprawie plastycznej mocny akcent białych gołębi. Jakże się zrosł z nami ten symboliczny ptak, naszkicowany ongiś ręką Picassa, dziś bliski tak i znajomy, że rysują go nawet małe dzieci. Włókiennicze maszyny zadziwiają przemysłowością i tajemnicą

kształtu. Inżynier dyżurujący przy nich tłumaczy, zapala się, rozwija myśl, gestykuluje gwałtownie, wzrok mu rozbłyska. Słucham zdumiony, zadziwiony, wreszcie z chaosu nowych nazw i pojęć wyrasta znów to samo słowo, które stało się dla mnie znamieniem Targów obecnych: siła. Siła państwa, siła narodu, który w tak krótkim czasie tyle już potrafił dokonać i który zawsze z odwagą mierzy siły swe na zamiary...

WĘDRÓWKA BEZ KOŃCA

Wędrować można po Targach godzinami. Samo pobieżne zwiedzenie hal i pawilonów z polskimi eksponatami (a jest ich ni mniej ni więcej tylko 30.000 z blisko półtora tysiąca fabryk) zajmuje, lekko licząc, pół dnia czasu. To tylko pierwszy rzut oka. Bo potem znowu się wraca, jeszcze raz chce obejrzeć jedno i drugie bliżej, dokładniej. Przejedź sprawodawcy i dziennikarze dzielą pracę według branż. Osobno przemysł włókienniczy, osobno maszyny, rolnictwo, przemysł spożywczy. Można zresztą tak w nieskończoność. Znowu przypominam Targi sprzed pięciu lat. Jakże rozrosł się nasz dorobek! Ot, choćby przemysł okrętowy, najmłodsza gałąź przemysłu polskiego. Przepięknie wykonane modele jednostek floty morskiej, wytwór stołnic polskich, drobnicowce, parowce, holowniki. Podziw i dumę w oczach zwiedzających. — Tego jeszcze nie było — mruczy

zaciekawiony, przejęty staruszek, jakoś inaczej patrzy od tej chwili na wiele spraw, jakie w kraju się dzieją. Mniej mu już nawet imponuje trzymany w ręku belgijski czajnik z gwizdkiem, kupiony w części kiersmaszowej. Bez gwizdka najwyżej herbata wykipi, ale bez statków to jak bez rąk...

„SYRENY”

Zwiększają się nasze obroty handlowe z zagranicą. Importujemy i eksportujemy. Eksportujemy coraz mniej surowca czy półfabrykatów, ale wzamian za to maszyny, urządzenia przemysłowe, co stawia nas w znacznie korzystniejszej pozycji handlowej. Stać nas dzisiaj na eksport kompletnych obiektów fabrycznych. Nie jednego czy dwóch typów, ale aż 35. Statki oceaniczne, obrabiarki, maszyny rolnicze, samochody (nasze „Warszawy” coraz gęściej zapelniają szosy Chin i Korei), wreszcie kompletne urządzenia cukrowni i urządzenia elektro-magnetyczne, pełne elementy składowe dla przemysłu fermentacyjnego, papierniczego, stacje transformatorowo-rozdziałowe.

— Tego jeszcze nie było! — takie zdanie słyszy się wielokrotnie na Targach.

— A to będzie! Już wkrótce — odpowiadają z serdecznym uśmiechem entuzjasta automobilizmu, wskazując na śliczny model „Syreny” w otoczeniu „Warszaw”, „Starów”, „Lublinów”, samochodów pożarowych, ciągników.

Potężny dźwięk demonstruje swą użyteczność, przenosząc ponad głowami zebranych wielki blok stali.

Nie opodał wejścia polyskują w słowach literary napisu: Dziesięć lat Polski Ludowej.

MASZYNY I... FUTRA ZSRR

Nareszcie, bawiąc się różnokolorowymi flagami na smukłych, białych masztach, furkocąc barwnymi chustkami na szyjach kobiet, przewleka przez Targi silniejszy wiaterek. Oszłołmieni ilością eksponatów ocierają gęsto pot z czoła. Szemrają liście licznych drzew, rosnących na terenie targowym. Trochę skrzekliwie wydiera się megafon:

— Uwaga, uwaga. Panna Zosia prosi o przybycie przed pawilon radziecki. Oczekuje stęskniony Julek. Uwaga, uwaga...

Zerkam chytrze na strony, poszukując owego stęsknionego Julka. Jesteśmy bowiem przed nowym, dopiero wniesionym pawilonem radzieckim. Nie, tu już chyba tylko panna Zosia sobie poradzi. Mrowie ludzi i mrowie maszyn. Jakich maszyn! Długie skrzydła wyciągają żniwiarki, na wesoły kolor malowanych pudłami z tysiącami ilością otworów, rączek, stopni, jak pazury wysuwających się haków kłaniają się kombajny zbożowe, kukurydziane i ziemniaczane. Zatrząszenie maszyn, do siewu, orprzetu, traktory na kołach wyższych od czło-

wieka i na gasienicach dla których nie straszne żadne nierówności terenu. Maszyny strzyżące owce, dojące krowy, ustawiające s'ano w stogi, plugi do zao-rywania ugorów, maszyny elektromagnetyczne do czyszczenia zboża. Grupa fachowców z naszych stacji doświadczalnych otacza młockarnię do lnu. Słyszysz słowa objaśniające radzieckiego informatora:

— Oddziela główki lnu od łodyg, przeciera je, czyści i sortuje ziarno... Obsługa dwóch ludzi.

Przypominają mi się niekończące się prace przy lnie we ws'ach naszych wschodnich województw, prace najbardziej długie, męczące. A tu, proszę, maszyna, dwóch ludzi, ekomasowany w paru godzinach wysiłek żmudnych tygodni.

W środku hali kilkunastu srebrnymi łuskami tryska woda z dużej fontanny, pod wieczór prześwietlanej różnokolorowymi reflektorami. Chłodnawo tutaj, ustawione obok maszyny włókiennicze jakby też lżej oddychały. Jakis strudzony wędrowiec macza w wodzie chustę, obmywa twarz. Pachnąca metalem — jest taki zapach — przestrzeń przecina nagle sygnał klaksonu samochodowego. Liczne spojżenia szukają sprawcy. To mały chłopak, przyszły automobilista, korzystając z nieuwagi opiekuna stoiska, wpakował się do pięknego ZISa najnowszego modelu i w ten sposób ujawnia rozpięając go radość.

Poznałem jednak owego stęsknionego Julka i pannę Zosię. W oczach jej widniał zachwyt, gdy spoglądała na przepiękne karakuty, piżmowce, jeszcze jakieś wspaniałe, wymyślne futra. On stał obok, uśmiechał się, usłyszałem jak szeptał:

— Za parę lat, jak sobie urządzimy już dom, kupimy takie futro.

Obdarzyła go wdzięcznym spojrzeniem dużych, czarnych oczu. Mnie się wydawało, że chłopak uśmiechnął się trochę szelmowsko.

PILZNER I „FRUKTOWIT”

Wszystkie kraje demokracji ludowej bogato prezentują swój dorobek i swoje możliwości. Z pięknego basenu tryśka fontanna, rozświeglająca wspaniałe zapach. Niektóre panie próbują zanurzać chusteczki do nosa a nawet i szale w upojnie pachnącym płynie... A fel Bułgarzy zdziwili się wyjątkowemu zamiłowaniu naszemu do różnanych olejków.

Węgry, Rumunia, Albania, uprzemysłowiona Czechosłowacja. Maszyny, samochody, wyroby artystyczne, produkcja rolnicza. I książki, wszędzie książki. Książka jest jakimś szczególnym znamieniem tegorocznych Targów. Króluję, oczywiście, w okragłym swym pawilonie CUW — uwaga, uwaga, można tu zobaczyć pozycje, do zdobycia dziś tylko w antykwaratach książki współczesne! Ale książki wystawia i Francja, i Niemcy Zachodnie, i wszystkie kraje demokracji ludowej, i Związek Radziecki...

Książki angielskie, chińskie, niemieckie, książki w kilkunastu językach. Dodajmy, że w tej dziedzinie zawartych zostało już kilkanaście transakcji handlowych. Eksportować będziemy wiele książek, równie wiele otrzymamy z importu. Między innymi wspaniałe francuskie wydawnictwa z dziedziny sztuki.

Barwny, zaciekawiony i pełen pogody tłum przewija się bez przerwy po ogromnej przestrzeni MTP. Każdego interesuje coś specjalnie. Sportowcy udają się do wykupu turystyki. Stoją tam rzędem domki campingowe — kierownictwo ma kłopot z gośćmi, pragnącymi doświadczenia spędzić tu bodaj że jedną tylko noc — namioty, miniaturowa kolejka na Szyn'dzielnę, wyciąg na Skrzyczne, makietą ośrodka wodnego w Rucianem. Kajak, łódzie żaglowe, motorówki i łódzie wysięgowe kołysz się na małych stawkach. Stawki te kuszą, byli już nawet amatorzy kąpieli...

Inni nie odstępują od telewizorów radzieckich albo niemieckich. Można tu na ekranie zobaczyć samego siebie, o-bok odbiorczych są też bowiem i aparaty nadawcze.

Najwięcej jednak zapaleńców wystaje godzinami przed pięknymi modelami samochodów. Cudne maszyny wystawiają Związek Radziecki, Anglia, Niemiecka Republika Demokratyczna.

— Przejechałbyś się, co? Mieć takie cacko u siebie...

— Ba! — pada odpowiedź, ucinająca wszelką wątpliwość.

W licznych kioskach można ugasić pragnienie świetnym Pilznerem albo doskonałym radzieckim „Fruktowitem”, płynem owocowym. Pali się tylko papierosy bułgarskie i radzieckie, gdzie by, nie wypadałoby na Targach inaczej.

24 PAŃSTWA

Targi tegoroczne posiadają rekordową ilość wystawców. 24 państwa prezentują swe eksponaty. Z krajów kapitalistycznych uczestniczy w Targach 250 firm. Austria i Belgia, Niemiecka Republika Federalna, Szwecja i Wielka Brytania posiadają własne pawilony. Ale liczni są także wystawcy z Włoch, Francji, Holandii, Szwajcarii (piękne zegarki), Finlandii, Danii, maleńskiego Luksemburga, Izraela, Brazylii, Maroka. Cztery kontynenty reprezentują swe możliwości.

Rosną z dnia na dzień w nowe miliony sumy dokonywanych transakcji. Wzrasta wymiana handlowa. Rodzi się nowy motyw współpracy krajów o różnych systemach. Zadzierzga się współpraca i zrozumienie, że póki jest znamieniem przyszłości...

EUGENIUSZ PAUKSZTA

Stendhal na ekranie

U CZYNIONO mi ostatnio zarzut, że piszę o filmach, które jeszcze nie ukazały się na ekranach. Argument wyglądał z pozoru słusznie: w wypadku wątpliwej oceny nieznajomość dzieła przez szersze grono odbiorców uniemożliwia podjęcie dyskusji z moimi tezami. Niby obieram w ten sposób pozycję z góry wygraną, moich sądów nikt nie może obalić, sprostować, lub nawet... potwierdzić.

Cóż na to odpowiedzieć? Przyjęcie takiego wniosku oznacza, że nie wypada Kalużyńskiemu pisać o pewnych zjawiskach kultury Zachodu, a Pomianowskiemu — o operze chińskiej w Paryżu. W konsekwencji nie można umieszczać w piśmie prowincjonalnym recenzji z warszawskiego spektaklu. Absurd, prawda? Żeby sprawę ostatecznie wyjaśnić, trzeba powiedzieć, że piszę o filmach, które, według wszelkich znaków na niebie i ziemi, powinny wejść na polskie ekrany — i każdy skonstruuje swoje opinie z gotowym dziełem.

I tym razem chcę napisać kilka uwag o niewyświetlanym w kinach filmie francuskim „Czerwone i czarne”, według powieści Stendhala.

O filmie tym sła do nas głośna fama, prasa zagraniczna uznawała tę adaptację za wielkie wydarzenie, najlepszy film ubiegłego roku. W parę miesięcy po premierze paryskiej zakupiony został przez kilkanaście krajów, między innymi także do Związku Radzieckiego.

Oglądałem więc „Czerwone i czarne” wyraźnie uprzedzony (pozytywnie). Lecz tym dziwniejsze uczucia przeżywałem po skończonej projekcji: zachwyt? zawód? obojętność? Chyba wszystko razem...

Zacznę od spraw „powierzchnowych”. Otóż powierzeńnię książki Stendhala tworzy dość niechlujny język i styl, za który naumyślnie Flaubert autorowi „Czerwonego i czarnego”. Niechlujstwo Stendhala zupełnie zniknęło w filmie reżysera Claude Autant-Lara. Zastąpione zostało istną cyzelacją formy, kunsztem obrazu, muzyki, gry aktorskiej. I nie warto nawet dyskutować, czy zasłó z tego powodu jakieś odstępstwo od pierwowzoru. Z takim „odstępstwem”, dotyczącym powłoki utworu, zawsze się pogodził, szczególnie gdy kunszt formalny służy wydobywaniu głębszych intencji pisarza...

Wobec zasadniczych „chcę” Stendhala twórcy filmu starają się być zupełnie wierni. Tytuł — i zaszyfrowana w nim myśl — „Czerwone i czarne” odczytano nie według ryzykownej teorii, która zakłada, że chodzi w nim o dwa kolory rulety w życiowej grze Juliana Sorela. Odczytano prościej — i jak się zdaje — najbliższą intencją pisarza: czerwony kolor ma oznaczać republikańskie dążenia Juliana, czern zaś — symbolizuje jezuityzm. W ślad za tym film operuje wyraźną metaforą barwną, szczególnie wyraźnie akcentowaną w kostiumach: czerwonych mundurach żołnierskich i czarnych szatach kleru.

A poza plastyczną symboliką? Tu właśnie film nieco rozczarowuje. Ciekawe — Autant Lara i Gerard Philipe starają się bunt Juliana przeciw burżuazjnym i jezuickim normom moralności — wysunąć jako jedną z czołowych cech osobowości bohatera. Lecz postać buntownika okazuje się w filmie uboższą, mniej porywającą. Trudno mi było orzec, dlaczego tak się stało. Bo pozostawiono i najważniejsze sceny, określające postawę ideową Juliana, i nawet jego monolog wewnętrzny. A przecież gdzieś się zgubiła owa żarliwość, rozmach filozoficzny, agresywna postawa bohatera wobec rzeczywistości. Może zawiniły tu jednak skróty, głównie ograniczające owe monologu Sorela i całą partię jego pobytu w klasztorze. Niełatwo też przypisać tu winę popularnemu Gerardowi; mimo wszystko nie mogą sobie jakoś wyobrazić innego aktora w roli Juliana.

Konieczność natomiast trzeba przekazać zachwyt dla kobiet w „Czerwonym i czarnym”. Kto wie, czy nie wzbogaciły postaci Stendhala synna Danielle Darrieux i aktorka włoska Luada. Mieję też na uwadze, że film ograniczył im pole do popisu, skreślając bezlitośnie niezmiernie istotne sceny po wydaniu wyroku skazującego Sorela. Od wyroku do egzekucji wszystko przebiega bardzo skrótowo, zupełnie pominięta została walka dwóch kobiet o życie i miłość uspaniałego kochanka.

Czas przejść do ogólnych wniosków. Nie mogą być one jednoznaczne. Jest bowiem założeń nieznajomość powieści Stendhala, uznamy film francuski za dzieło nieprecyzyjne. Ale w konfrontacji z książką, którą każdy by wyniósł z pionącego domu — odczuwa się rozczarowanie...

Konieczność trzeba przypomnieć w tym miejscu pewien trudny: żaden film nie jest w stanie przekazać całej zawartości, idei i klimatu dzieła wielkiego pisarza.

Nie chcę jednak, by przypomnienie tej znanej prawdy sugerowało ostrzeżenie przed filmowaniem klasyki. Wręcz przeciwnie. Dla naszej kinematografii, która pracuje właściwie bez tradycji, adaptacje dzieł klasycznej literatury mogą być idealną szkołą doskonałości rzemiosła artystycznego we wszystkich jego specjalnościach: scenariusza i dialogu, reżyserii i scenografii, muzyki i aktorstwa.

Co moim zdaniem jest najistotniejszą cechą tej szkoły? Niespotykane przy adaptacjach książek współczesnych, filmowaniu oryginalnych scenariuszy — poczucie odpowiedzialności za realizowane dzieło.

J. ERT.



ARKADIUSZ WASILIEW

NEKROLOG

Jakub Iwanowicz w milczeniu rozebrał się, z posępną twarzą poszedł do łazienki, żeby umyć ręce, i dopiero stamtąd dobiegł jego stłumiony szumem wody głos:

— Czym ja się będę wycierał? Zona, podając ręcznik, zauważyła: — Co ciebie dziś tak zdenerwowało, Kubusiu?

— Maż westchnął i nic nie odpowiedział. Dopiero przy obiedzie ze smutkiem wyjaśnił:

— Umarł Szymon Iwanowicz. Nacierpiał się biedak. Zona jęknęła i podniosła do oczu fartuch.

— Kto ci o tym powiedział? — Ławrow dzwonił. Prosił o zgodę na umieszczenie mego nazwiska pod nekrologiem. Powiedział, że wszyscy podpisali: Arbuzow, jego zastępca Waniukow, Jurkin. Jednym słowem, wszyscy.

— Według alfabetu.

— Jak to wszyscy? — zapytała zona. — Cały zarząd.

— A jakież ty zarząd?

— Jak widzisz, zaliczyli i mnie. Ty, matulu, nie myśl, że to wszystko dzieje się tak zwyczajnie, bez głębszego sensu. Do nekrologów nie każdego dopuszczają. Cóż ty, matulu, maszaisz się?

— Szkoda Szymona Iwanowicza. Dobry był człowiek.

— Nienajgorzezy. Uczciwy. Z głową na karku.

Nazajutrz rano maż, przejrzaawszy gazetę, odłożył ją i zaczął skwapliwie jeść śniadanie. Zona postawiła przed nim jajecznicę i także sięgnęła po gazetę. Zobaczywszy nazwisko w czarnej obwódce, powiedziała:

— Jaka strata! Biedny Szymon Iwanowicz!

Maż odsunął jajecznicę i, zawzięcie mieszając łyżeczką kawę, krótko rzucił: — O jednego dumia mniej! Maciwo-da. A i rączek czystych nie miał!

Wstał z hałasem, ubrał się i wyszedł, trzaskając drzwiami tak, że aż żalostnie zabrzęczały naczynia. Zona, myśląc, iż w czymś zawiniła, zapłakała. A wszystkiemu winien był dyżurny redaktor. W czasie łamania gazety okazało się, że w szpalcie, zawierającej nekrolog, było za dużo o kilka wierszy dłużej. Redaktor, skracając, zamisał pięciu ostatnich nazwisk napisal: „i inni”. Tłum. z rosyjskiego J. H.

HENRYK KATZ

Młodzież drugiej Ameryki

EDNĄ z najgroźniejszych ofiar Ponurego Dwieściecia, jakie w historii kultury amerykańskiej stanowiły lata 1945-1954, stała się młodzież uniwersytecka. Inteligentny i moralny maccarthyizm przeniknął do uniwersytetów niezwykle głęboko i uwidocznili się w całokształcie zjawisk tam zachodzących.

Temu procesowi „maccarthyzacji” (czy też po prostu faszyzacji) sprzyjały „obiektywne warunki”, specyficzna przede wszystkim struktura amerykańskiego uniwersytetu. Uniwersytety w U.S.A. są instytucjami niewątpliwie, bardziej masowymi aniżeli w krajach kapitalistycznych Europy, równocześnie jednak istnieją poważne różnice w ich organizacji i wypełnianiu funkcji społecznej. Samo pojęcie „uniwersytetu” w Stanach Zjednoczonych jest bardzo elastyczne (co stwierdza w swym studium porównawczym o uniwersytetach burżuazyjny, badacz tych spraw Flexner). Zakres studiów obejmuje np. obok fizyki atomowej i matematyki różniczkowej, obok genetyki, socjologii i psychoanalizy, także przedmioty jak „zasady reklamy”, „hodowla kur” i „zapaśnictwo”. Wiele miejsca w college'u uniwersyteckim zajmuje sport. Trener futbolowy — żali się Flexner — jest bardziej znaną postacią aniżeli „prezydent” (rektor) uczelni; jest też o wiele lepiej opłacany pracownikiem aniżeli profesor uniwersytetu.

System studiów na uniwersytetach oraz ogólna atmosfera społeczna sprawia, że student nie dąży do rozszerzenia swego horyzontu myślowego, ugruntowania i pogłębienia określonej dziedziny wiedzy, lub swego światopoglądu. W demaskatorskiej książce o Stanach Zjednoczonych XX wieku („Americas Sixty Families”) Ferdinand Llandberg daje następującą charakterystykę absolwentów amerykańskich uniwersytetów: „Większość dyplomatów dzieli się z grubszą na dwie kategorie. Do pierwszej należy specjalista, ekspert w określonej dziedzinie — prawo, fizyka, chemia, budownictwo — lecz okazujący małe zainteresowania intelektualne poza swą dziedziną. Do drugiej grupy należy typowy produkt antyintelektualnego wychowania college'owego, którego horyzont umysłowy ogranicza się do wydarzeń sportowych, bridge'a, lektury Saturday Evening Post, ceduły giełdowej i formuł na coctailu. Ten drugi typ przeważa liczebnie nad pierwszym”.

Jeszcze w latach trzydziestych i czterdziestych — latach Roosevelta i New Dealu, w latach poważnego uaktywnienia się i zorganizowania klasy robotniczej, ofensywy demokratycznej i wojny z faszyzmem — docierały do uniwersytetów amerykańskich nowe prądy i idee, toczyły się z większą niż dawniej swobodą walki ideologicznej, marksizm tu

RYSZARD DOROBA

SKĄD SIĘ BIERZE DYM

Mniej by dymu było w Łodzi (dym, wiadomo, zdrowiu szkodzi), gdybyście wy, moi mili, wzajem sobie nie kadzili.



Rysunek bez podpisu

(„Eulenspiegel”. Berlin)

WACŁAW OLSZEWSKI

LIST Z TERENU

Drogi Ob. Redaktorze! Gdy budżet szpitali (podobnie, jak gdzie indziej) czasami nawali — pojawia się na krótko brak niektórych leków. A w mieście jest apteka. W Łodzi. Niedaleko. Dać na miasto receptę? To znaczy się przyznać, że nam budżet nawalił. (Bóg, Honor, Ojczyzna!!!) Pytam Was, Redaktorze: kiedy brak jest lekarstw — ważniejszy honor „firmy” czy zdrowie człowieka?

Zwiększyć siostrom etaty? — Budżet nie pozwala! Nam trzeba urzędników! A zatem, w szpitalach zarządza się od dzisiaj: biurko — zamiast łóżka, urzędnik — zamiast siostry, zamiast leku — suszka, zamiast igieł — stalówki...

Tutaj rzekła chora;

— Trzeba wywiesić slogan na drzwiach dyrektora, te słowa dyrektorem pomogą ogromnie: „Niedobór urzędników dobrze świadczy, o mnie”...

* * *

Kończę już, i w imieniu chorego człowieka ścisłam dłonie redakcji:

W. Olszewski, lekarz.

Mainstream”, No 4, 1955). Aptheker, historyk marksistowski (specjalista od zagadnień murzyńskich), wybitny członek KP USA, dotarł do trzech ośrodków uniwersyteckich, w których udało mu się skupić na odczytach poważną część młodzieży studiującej i z kolei nakłonił swych słuchaczy do wielogodzinnych rozmów, dyskusji, pytań i odpowiedzi. Swój pierwszy odczyt Aptheker odbył w Swarthmore College, jednej z najmniej znanych, ale równocześnie odznaczających się swym poziomem, uczelni amerykańskiej. Około połowy studentów tej uczelni przez godzinę słuchało komunisty Apthekera mówiącego o zagadnieniu obrony praw demokratycznych, po czym w ciągu trzech godzin młodzież bombardowała mówcę pytaniami: „Audytoryum darzyło mnie nieufnością — pisze Aptheker — choć równocześnie okazywało mi się osobliwie swą serdecznością”. Najważniejszy jest jednak fakt, że młodzież, której wojnowo karykaturalne poglądy na komunizm, odziedziczone przez wiele lat od prawdy, okazała tak wiele ciekawości i dobrej woli, aby poznać stanowisko przeciwnika. I choć pytania stawiane mówcy zdradzały ogromną ignorancję, były one uczciwe w swej intencji poznania odpowiedzi, jakie marksizm-leninizm daje na palące problemy czasu.

Po raz drugi Aptheker udał się na spotkanie w innym ośrodku z grupą złożoną z około stu studentów zbierających się na co piątek na wieczory dyskusyjne. Młodzież ta spontanicznie i jednogłośnie postanowiła zaprosić „żywego komunistę”, by poznać racje i punkt widzenia oraz skonfrontować jego poglądy, z tym co o komunizmie codziennie pisze prasa. Rozmowa z tą młodzieżą trwała cały wieczór i całą noc aż do porannego brzasku. I choć ci młodzi ludzie, jak pisze Aptheker, okazywali „więcej cynizmu niż sceptycyzmu” (cynizm, który jest produktem wychowania i całej atmosfery społeczno-kulturowej USA), niewątpliwie zwycięża w nich zdrowa natura, wrażliwość na prawdę oraz krytycyzm właściwy młodości.

Najciekawsze bodaj jest sprawozdanie z trzeciego spotkania w Antioch College w stanie Ohio. Już samo zaproszenie Apthekera przez młodzież tego ośrodka było dużym aktem odwagi, który napotkał na wściekły atak miejscowej reakcji. Organ maccarthowski „Greene County Journal” zaatakował uzasadnienie zaproszenia Apthekera w następujący sposób: „Powiedzieć, że jest rzeczą konieczną sprowadzić zdradę po to, by ten zdemontował swe konspiratorskie idee i idee, jest takim samym nonsensem, jakim byłoby sprowadzenie duszicy, by zadusił kogoś celem zdemontowania swych metod”.

Młodzież, która zaprosiła Apthekera (a którą wyżej wspomniany organ nazwał „niedojrzałym, nierównowagowanym emocjonalnie dzieckiem”), równocześnie zaprosiła do udziału w dyskusji oponentów komunizmu spośród członków ciała nauczającego, lecz żaden z nich nie przyjął zaproszenia, a jeden z zaproszonych wręcz oświadczył, że w toku sporu z Apthekerem nie umiałby się powstrzymać.

Pióreczka z ogona

ERRARE HUMANUM EST...

Gaffy popełnił każdy człowiek, zdarzają się one również pisarzom. W świetnej powieści Winogradowa „Pioterek Paganiniego”, która ukazała się niedawno w nowym nakładzie, czytamy na str. 461 co następuje: „...marny węgierski skrzypek, Ondrček, gra szarpącą duszę melodię poświęconą pamięci Paganiniego”.

W zdaniu tym są dwie nieścisłości: po pierwsze, Ondrček to nie Węgier, lecz Czech, i po drugie, nie był to skrzypek marny, lecz wyśmienity.

CUD MNIEMANY!

W recenzji Janusza Cegielińskiego o „Krakowiakach i góralach” („Kronika” Nr 5) czytamy:

...oczy całego społeczeństwa zwrócone były ku ludowi krakowskiemu, świeżo odkrytemu sław pod Racławicami, tam właśnie znajduje natchnienie Bogusławski... Premiera odbyła się w Warszawie 1 marca 1794 roku...

Ponieważ bitwa pod Racławicami odbyła się, jak wiadomo, 4 kwietnia 1794 roku — przeto, aby nie mącić pięknych wywodów autora recenzji, należałoby przesunąć datę premiery „Krakowiaków i górali”. Niestety, mimo naszej stałej sympatii dla „Kroniki”, nie potrafimy tego uczynić!

Nagrodę „Pióreczka z ogona” za wy-cinek z „Kroniki” otrzymuje ob. Stanisław Walicki, Łódź.



Rys. K. Baraniecki

— Mnie krytykować?!

HENRYK KATZ

REDAGUJE ZESPÓŁ WYDAJE ZWIĄZEK LITERATÓW POLSKICH Oddział w Łodzi NAKŁADEM RSW „PRASA”

Adres Redakcji: Łódź, Piotrkowska 96, I p. Tel.: 244-79 Rękopisów nie zamówionych nie zwraca się Prenumeratę miesięczną wynoszącą zł 2,40 przyjmują Urzędy Pocztowe 1 listonosze. Zakł. Graficzne RSW „Prasa” — Łódź, Zwirki 17. Zam. 2417. Pap. druk. sat. 60 g, V kl. VII. 55. D-6-6209.